3 1761 08822376 3

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/pismahenrykasien09sien

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM IX.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

LP
S 5724

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM IX

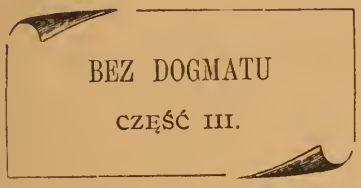

486192
17.2.49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1899

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Февраля 1899 г.

21 kwietnia.

Mieszkam niby w Warszawie, ale cztery dni z rzędu spędziłem w Ploszowie. Pani Celina ma się lepiej, natomiast ksiądz Łatysz umarł onegdaj. Doktor Chwastowski nazywa chorobę jego «wspaniałym przebiegiem gruźlicy płucnej» i z trudnością ukrywa zadowolenie, że koniec tego wspaniałego przebiegu przepowiedział niemal na godzinę. Odwiedzaliśmy nieboszczyka na dwanaście godzin przed śmiercią. Żartował z nami i był pełen otuchy z powodu zmniejszenia się gorączki, która zmniejszała się właśnie skutkiem osłabienia. Wczoraj rano siedzieliśmy z Anielką na ganku, gdy nadeszła matka biednego księżyka i zaczęła opowiadać o jego śmierci, w ten szczególny chłopski sposób, w którym żal miesza się z zupełnem zgodzeniem się na to, co zaszło. We współczuciu mojem była i ciekawość, bom się z ludem mało dotąd sty-

kał i mało na niego zwracałem uwagi. Jakim ci ludzie mówią dziwnym językiem! Starałem się zapamiętać jej słowa, by je sobie zapisać. Stara chłopka, na powitanie, podjęła w milczeniu pod nogi mnie i Anielkę, następnie zaś, przykrywszy oczy wierzchem dłoni, poczęła zawodzić:

— O Jezusińku mój serdeczny, o Maryjo Przynajświętsza! Pomer ci mój nieboraczek, pomer! Wolał ci do Pana Boga iść, niż z matką i ojcem ostawać. Na nic mu się dworski starunek nie przydał. Wina mu ta dawali po próżnicy, bo mu ta i wino nie pomogło. O Jezusińku Przynajświętszy, o Jezu! o Jezu!

W głosie jej był niezawodnie szczery żal macierzyński, ale co mnie uderzyło, to zachowanie w jękach i narzekaniu czegoś w rodzaju nuty obyczajowej. Nie słyszałem dotąd chłopek lamentujących po śmierci blizkich, a byłbym przysiągł, że wszystkie muszą podobnie lamentować, jakby na to istniał jakiś wiejski przepis.

Anielka miała łzy na rzęsach i z tą nieopisaną dobrocią, jaką posiadają tylko kobiety, poczęła wypytywać o okoliczności śmierci, odgadując, że opowiadanie przyniesie kobiecinie ulgę.

Jakoż staruszka poczęła opowiadać niemal z chciwością:

— Kiej dobrodziej z Panem Jezusem od niego odszedł, ja mu powiadam tak: «Czy ta umrzesz, czy nie umrzesz, wola Boska! Przyrządziłeś się na śmierć pięknie, a teraz śpij». On powiada: «Dobrze!» — i zdrzemnął, a ja też, bo, niech to nie będzie Panu Bogu wymowno, alem się też bez trzy noce nabiedowała. Dopiero o pierwszych kurach przyszedł mój stary, zbudził mnie, i siedzieliśmy oboje — a on śpi i śpi. Mówię staremu: «Ej, czy nie pomer?» — A stary mówi: «Może i pomer!» Pociągnął go, on się też obudził i mówi: «Lepiej mi». — Poleżał z pięć pacierzy spokojnie i wzion się uśmiechać do pułapu. Jakem to zobaczyła, tak złość mnie chwyciła i mówię: «A ty, kaśtanie, to ty się mojej biedzie uśmiechasz?» A on się śmierci uśmiechał, nie mojej biedzie, bo zaraz potem poczęło dychać niebożątko, i tyle go było do wschodu słonka.

Tu znowu poczęła jęczeć, następnie wezwała nas, byśmy poszli zobaczyć nieboszczyka, bo już go oblekła, i «taki piękny, jak malowanie». Anielka była gotowa pójść z nią, alem ją powstrzymał; zresztą babina, zapomniawszy

po chwili o swem żądaniu, przeszła do opowiadań o swojej biedzie. Mąż jej był niegdyś zamożnym gospodarzem, ale całą chudobę stracili na to, by syna wychować. Sąsiedni gospodarze kupowali morgę za morgą, i dziś została im tylko chałupa, a gruntu nic. Tysiąc dwieście rubli wydali. Myśleli, że się na starość przy synu przytulą, a tymczasem Pan Bóg go zabrał. Staruszka z całą chłopską rezygnacyą oświadczyła nam, iż już się ułożyli z mężem, że zaraz po pogrzebie pójdą «na dziady». Nie zdawało się to jej wcale przestraszać; mówiła nawet o tem, jakby z pewną utajoną satysfakcyą, bała się tylko, czy w gminie nie będzie mitręgi ze świadectwem, które nie wiem do czego jej było potrzebne. W opowiadaniu jej tysiączne szczegóły realne mieszały się z wezwaniami do Pana Jezusa i do Matki Boskiej, ze łzami i żalem.

Anielka wbiegła do domu i po chwili wróciła z pieniędzmi, które chciała wręczyć starej kobiecie, lecz mnie przyszła inna myśl, którą na razie uznałem za dobrą. Zatrzymałem rękę Anielki i, zwróciwszy się do babiny, spytałem:

— Toście wydali tysiąc dwieście rubli na wychowanie syna?

— Juści, proszę jaśnie pana. Myśleliśwa, jak ostanie proboszczem, przytulić się przy nim na probostwie, ale Bóg Najwyższy pokierował nas nie na probostwo, ino pod kościół.

— To ja wam podaruję tysiąc dwieście rubli. Zagospodarujcie się na nowo i żyjcie spokojnie w chałupie.

Byłbym to zaraz uczynił, ale nie miałem z sobą pieniędzy; umyśliłem jednak wziąć potrzebną kwotę z kasy ciotki i kazałem babuli przyjść za godzinę. Była tak zdumiona, iż przez jakiś czas patrzyła na mnie wytrzeszczonemi oczyma, nie mówiąc ani słowa, następnie padła mi do nóg prawie z krzykiem. Potrafiłem się jej jednak pozbyć dość prędko, głównie dlatego, że pilno jej było lecieć do męża i powiedzieć mu dobrą nowinę. Zostaliśmy sami z Anielką, która również była wzruszona i na razie nie umiała znaleźć potrzebnych jej słów; dopiero po chwili poczęła powtarzać:

— Jakiś ty dobry! jakiś ty dobry!

Lecz ja wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem Anielce takim tonem, jakbym mówił zarówno o rzeczy obojętnej, jak naturalnej:

— Ja, moja Anielko, bynajmniej nie uczyniłem tego przez dobroć, ani dla tych ludzi,

których pierwszy raz widzę. Zrobiłem to jedynie dlatego, że ty się nimi zajmujesz, i w tej myśli, że to tobie sprawi przyjemność. Inaczej zbyłbym ich pierwszym lepszym datkiem.

Tak mówiąc, powiedziałem szczerą prawdę. Ludzie ci tyle mnie obchodzili, ile każdy inny biedak; natomiast z równą łatwością dałbym dwa i trzy razy tyle dla zrobienia przyjemności Anielce. Powiedziałem to przytem umyślnie, bom doskonale rozumiał, że podobne słowa, mówione do kobiety, są niezmiernie doniosłe, nie mając bowiem formy wyznania, równają się niemal wyznaniu. Znaczy to samo, co powiedzieć jej: dla ciebie uczyniłbym wszystko, boś ty mi wszystkiem. I co więcej, żadna na świecie kobieta nie może się obronić podobnym wyznaniom i nie ma prawa za nie się obrażać. A ja chciałem jeszcze i dlatego wyrazić to Anielce, żem to czuł. Złagodziłem tylko ukryte znaczenie moich słów w ten sposób, żem mówił takim tonem, jakby o rzeczy najzwyczajniejszej, która się sama przez się rozumie. Anielka jednak pojęła ich doniosłość, bo spuściła oczy i nie wiedziała, co mi odpowiedzieć. Z widocznem zmieszaniem rzekła wreszcie, że musi iść do matki, i zostawiła mnie samego.

Ja mam najzupełniejszą świadomość, że postępując w taki sposób, wprowadzam do duszy Anielki myśli obce jej i niepokojące. Ale ze zdziwieniem widzę, że jakkolwiek z jednej strony wzburza to moje sumienie i budzi dręczącą obawę o spokój istoty, za którą oddałbym życie, z drugiej jednak sprawia mi jakąś drapieżną radość, jak gdybym zaspokajał wrodzony człowiekowi instynkt niszczenia. Mam także przekonanie, że nic mi tu żadna świadomość zła, ni żadne skrupuły nie pomogą. Mam zbyt silny charakter, bym się umiał i mógł na tej drodze zahamować, zwłaszcza wobec tego nieprzepartego, niewypowiedzianego uroku, jaki wywiera na mnie ta kobieta. Teraz dopiero jestem naprawdę, jak ów Indyanin, który porwany przez prąd wodospadu, złożył wiosła i zdał się na wolę prądu. Nie rozmyślam nawet o moich winach i o tem, że wszystko mogło być inaczej, że mi trzeba było wyciągnąć tylko rękę po tę istotę, o której teraz mówię sobie: dla kogo warto żyć, jeśli nie dla niej? kogo warto kochać, jeśli nie ją? Wpadam w determinizm i często zdaje mi się, że nie mogło być inaczej, że na tę nieudolność moją życiową składały się całe pokolenia, które już wyczerpały oddawna

zasób życia — że ja taki byłem i taki jestem, jak musiałem i muszę być — i że nie pozostaje mi nic innego, tylko złożyć wiosła.

Dziś zrana byliśmy z ciotką i Anielką na pogrzebie młodego kleryka. Pogoda dopisuje nam ciągle; pogrzeb odbył się zrana i nie utrudził tych pań, bo do kościoła i na cmentarz mamy niedaleko. Dziwny to widok takiego korowodu wiejskiego, poczynającego się od księdza i trumny na wozie, a kończącego zbitym tłumem chłopów i wieśniaczek. Wszystko to śpiewa pieśni niesłychanie posępne, przypominające jakąś chaldejską muzykę. W końcu orszaku mężczyźni i kobiety rozmawiają sennym, wlokącym się głosem, poczynając zawsze swe uwagi od: „O, moiście wy!» Wyraz ten słyszałem co chwila. Równie dziwne wrażenie robi podczas takiego obrzędu, jak pogrzeb, jaskrawość chustek na głowach dziewcząt. Szliśmy aleją jarzębową do kościoła, i gdy pochód zasuwał się w przerwach między drzewami w słońce, chustki owe rozpalały się w blasku żółto, czerwono, błękitnie, co dawało całemu temu orszakowi pozór wesołości, tak, że gdyby nie ksiądz, nie wóz z trumną i nie zapach jałowcu, możnaby mniemać, że to wesele idzie. Zauważyłem także, z jakiem zado-

woleniem ludzie na wsi idą za pogrzebem. W ogóle śmierć nie robi na nich żadnego wrażenia; może widzą w niej wieczyste świętowanie? Gdyśmy stanęli nad dołem, dostrzegłem w twarzach tylko skupioną uwagę nad ceremonią i ciekawość; żadnego śladu, żadnego cienia refleksyi, że jest to jednak nieubłagane zakończenie, po za którem zaczyna się coś strasznego i nieznośnego. Patrzyłem na Anielkę w chwili, gdy schyliła się po garść piasku na trumnę. Była nieco blada, że zaś słońce padało właśnie na jej twarz, można było czytać w tych przezroczystych rysach, jak w książce. Byłbym przysiągł, że myślała w tej chwili o własnej śmierci. Mnie wydało się poprostu niepodobieństwem, jakąś dziką i potworną myślą, żeby ta twarz, taka czująca, taka pełna bujnej młodości, widnej w tym puszku nad ustami, w tych długich rzęsach, w tym swoim uroczym indywidualizmie, mogła kiedykolwiek zbielеć, skamienieć, pozostać w wiecznej ciemności.

A jednak było mi tak, jakby jakiś mróz zwarzył moje myśli. Oto przyszło mi do głowy, że pierwszy obrząd, w jakim uczestniczymy w Płoszowie z Anielką, jest to pogrzeb. Równie jak śmiertelnie chory człowiek, który stracił

wiarę w naukową medycynę, gotów jest uwierzyć w leki znachorów, tak śmiertelnie chora, o wszystkiem wątpiąca dusza gotowa jest uwierzyć nawet w przesądy. Prawdopodobnie nikt nie stoi bliżej od otchłani mistycyzmu, niż bezwzględny sceptyk. Ci, którzy zwątpili o ideałach religijnych i socyologicznych, ci, którzy stracili zaufanie w potęgę wiedzy i ludzkiego rozumu, cała masa ludzi, właśnie najbardziej rozwiniętych, niepewna dróg, pozbawiona wszelkich dogmatów, szamocząca się, beznadziejna, zasuwa się obecnie coraz głębiej w mgły mistycyzmu. Występuje on wszędy, ze zwykłą siłą reakcyi przeciw dzisiejszemu życiu, polegającemu na pozytywnem ograniczeniu myśli ludzkiej, na potłumieniu ideałów, na użyciu, na bezdusznem bankierstwie. Duch ludzki poczyna rozsadzać budynek, w którym kazano mu mieszkać, dlatego, że budynek ów jest zbyt pod każdym względem giełdą. Kończy się jakaś epoka, nadchodzi jakaś ewolucya na wszystkich polach. Przychodziło mi to nieraz do głowy i napełniało mnie zdumieniem, że naprzykład najnowsi więksi powieściopisarze sami nawet nie wiedzą, jak niewiele brak im do tego, by się stali mistykami. Niektórzy mają już świa-

domość, że nimi są i głośno to wyznają. W każdej książce, którą w ostatnich czasach otwierałem, widziałem nie dusze ludzkie, nie wolę i namiętności osobiste, ale ogólne siły fatalne, mające cechy strasznych istot, niezależne od pojedyńczych zjawisk, żyjące same w sobie, jak Goethowskie macierze.

Co do mnie, jestem zapewne także na granicy. Widzę to i nie lękam się. Otchłań pociąga; mnie osobiście pociąga nawet tak dalece, że gdybym już dziś mógł, zeszedłbym na samo dno — i zejdę, jak tylko będę mógł.

28 kwietnia.

Upajam się tem życiem w Płoszowie, codziennym widokiem Anielki i zapominam, że ona należy do kogo innego. Ten Kromicki, który siedzi tam, w Baku, czy też jeszcze gdzieś dalej, wydaje mi się jakąś istotą nierzeczywistą, pozbawioną realnego bytu, jakiemś złem, które kiedyś ma nadejść, tak jak naprzykład nadejdzie śmierć, o której się przecie ciągle nie myśli. Ale wczoraj spotkało mnie coś w rodzaju memento. Drobna to na pozór i najzwyczajniejsza rzecz! Anielka odebrała rano, przy herba-

cie, aż dwa listy. Ciotka spytała jej, czy od męża, ona zaś odpowiedziała: «Tak!» Usłyszawszy to, doznałem takiego wrażenia, jakiego doznawać musi człowiek skazany, który w wigilię egzekucyi miał słodki sen, ale którego zbudzono oświadczeniem, że czas strzydz włosy i iść pod nóż gilotyny. Ujrzałem naraz, z niebywałą dotąd wyrazistością moje nieszczęście. Cały dzień zostało mi to złowrogie poczucie, tembardziej, że ciotka, jakby się uwzięła, żeby mnie męczyć. Anielka chciała odłożyć czytanie listów na wolną chwilę po herbacie, tymczasem ciotka kazała jej czytać je zaraz, następnie zaś poczęła wypytywać: jak się ma Kromicki?

— Dziękuję cioci, dobrze! — odpowiedziała Anielka.

— A jak mu tam idzie?

— Chwała Bogu! Pisze, że nadspodziewanie.

— Kiedy wróci?

— Mówi, że jak tylko będzie mógł.

I ja, ze swą wrażliwością, musiałem wysłuchać tych pytań i tych odpowiedzi. Gdyby ciotka z Anielką zaczęły jaką nieprawdopodobną, cyniczną rozmowę, nie więcej poszarpałaby mi ona nerwy. Po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Płoszowa poczułem niechęć i głęboką urazę

do Anielki. «Miejże przynajmniej trochę instynktu litosnego i nie gadaj przy mnie o tym człowieku — nie dziękuj w odpowiedzi na pytanie o jego zdrowiu i nie mów: «Chwała Bogu!»— pomyślałem sobie w duszy. Tymczasem ona otworzyła drugi list; spojrzawszy na datę, powiedziała: «To dawniejszy» — i zabrała się do czytania. Spoglądałem na pochyloną jej głowę, na rozbiór włosów, na czoło i spuszczone powieki — i wydawało mi się, że to czytanie trwa nieznośnie długo. Zarazem zrozumiałem, że tych ludzi, to jest ją i Kromickiego, łączy cały świat wspólnych interesów i celów, że oni są związani nierozerwalnymi węzłami, że z koniecznych powodów oni muszą się poczuwać do związku z sobą i do wzajemnej przynależności. Pojąłem, że ja stoję i będę stał siłą rzeczy nazewnątrz, nawet choćbym pozyskał jej wzajemność. Dotąd, od pierwszego widzenia Anielki, czułem tylko głębię mojej nędzy tak, jak się czuje głębię przepaści, którą przesłania tuman. Teraz mgły się rozdarły i ujrzałem bezdeń w całej rozciągłości.

Mam to jednak do siebie, że pod nadmiernym uciskiem poczynam się odprężać. Miłość moja nie śmiała dotychczas chcieć czegokolwiek,

ale w tej chwili zawiść poczęła rozpaczliwie pożądać zniszczenia i potępienia tych wszystkich nieubłaganych praw, tych węzłów i tych przynależności. Anielka czytała zaledwie parę minut; przez ten czas przeszedłem przez całą skalę udręczeń, tembardziej, że jak zwykle, gnębiły mnie i inne myśli, będące analizą i krytyką zasadniczego bólu. Oto mówiłem sobie, że to wzburzenie i ta gorycz, którą odczuwam, mają jednak śmieszne niemal cechy jakichś kobiecych dąsów; dalej myślałem, że z takimi nerwami niepodobna żyć, a nakoniec stawiałem sobie pytanie: Jeśli taka przeprosta rzecz, jak to, że mąż pisze do żony, a ona czyta jego listy, przyprawia cię o zupełną utratę równowagi, co będzie, gdy on tu przyjedzie, i gdy co chwila będziesz widział i stwierdzał wzajemną ich przynależność?

Odpowiadałem w duchu: zabiję go! — i jednocześnie czułem całą śmieszność i głupotę tej odpowiedzi.

Łatwo zrozumieć, że podobne pytania nie uspokajały mnie. Anielka, skończywszy czytać, spostrzegła zaraz, że jestem w jakimś niezwyklym stanie, i poczęła mi rzucać niespokojne spojrzenia. Jest to jedno z tych słodkich uspo-

sobień, które potrzebuje koniecznie koło siebie atmosfery przyjaznej, inaczej i źle mu i strasznо. Płynie to z niezmiernej delikatności serca. Pamiętam, że za czasów, gdy stary Chwastowski nie jadał u syna, piwowara, ale w pałacu, i ciotka kłóciła się z nim co obiad, Anielka, nim przekonała się o błahości tych kłótni, bała się ich i nie mogła ich znosić. Teraz widocznie zaniepokoiło ją moje wzburzenie, chociaż nie umiała się domyślić jego powodów. Kilkakrotnie zagadnęła mnie niby o koncert Klary, a jednocześnie wzrok jej pytał: Co tobie jest?

Lecz ja odpowiadałem zimnem spojrzeniem, nie mogąc jej wybaczyć ani tych listów, ani rozmowy z ciotką. Zaraz po herbacie wstałem i oświadczyłem, że muszę jechać do Warszawy.

Ciotka chciała, żebym został na obiad, po którym mieliśmy, wedle pierwotnego układu, jechać razem na koncert. Lecz ja odpowiedziałem, że mam kilka spraw do załatwienia w Warszawie, a i naprawdę pragnąłem zostać sam. Dałem rozkaz, by zaprzęgano, tymczasem ciotka rzekła:

— Chciałabym się wywdzięczyć jakoś Hil-

stównie i namyślam się, czy jej nie zaprosić na jeden dzień do Płoszowa?

Widocznie ciotka uważała zaproszenie do Płoszowa za tak wielką nagrodę, że wahała się, czy to jednak nie będzie dla Klary zbyt wiele.

Po chwili ozwała się znowu:

— Gdybym była pewna, że to jest osoba zupełnie dobrego towarzystwa...

— Hilstówna jest przyjaciółką królowej rumuńskiej — odrzekłem z niecierpliwością — i co rok spędza u niej po kilka tygodni. Jeśli dla kogo będzie zaszczyt, to dla nas.

— No, no! — mruknęła ciotka.

Na samem odjezdnem zwróciłem się do Anielki:

— A ty, wybierasz się z ciotką na koncert?

— Muszę być przy mamie, a przytem muszę pisać listy.

— Jeśli chodzi o uczucia stęsknionej małżonki, to nie przeszkadzam.

Na razie ironia tych słów przyniosła mi ulgę. Niech wie, że jestem zazdrosny, pomyślałem; ona tak, jak ciotka i jej matka, należy także do kobiet «anielskiego gatunku», nie dopuszczających istnienia złego. Niechże zrozu-

mię, że ją kocham, niech ta myśl wstąpi w nią, niech się oswaja z tem pojęciem, niech się pocznie niem niepokoić, niech z niem walczy. Wprowadzić do jej duszy taki obcy, rozkładający pierwiastek, taki ferment — to już jest pewne zwycięstwo. Obaczymy, co dalej będzie.

Była to dla mnie ulga chwilowa, ale duża, podobna do złej radości. Zaraz jednak w powozie ogarnął mnie gniew na samego siebie i niesmak. Niesmak ów pochodził stąd, iż czułem, że to wszystko, com powiedział i pomyślał, jest swoją drogą małostkowe, oparte na przerafinowanych i grymaśnych nerwach, godne histerycznej kobiety, nie mężczyzny. Miałem ciężką drogę do Warszawy, cięższą, niż wówczas, gdym po ostatnim powrocie z za granicy jechał po raz pierwszy do Płoszowa. Zastanawiałem się nad tem, że owa straszna nieudolność życiowa, która ciąży, jak fatum, nad podobnymi do mnie ludźmi w ogóle, a nade mną w szczególności, pochodzi stąd, że pierwiastek kobiecy przeważa w naszych charakterach nad męskim. Nie chcę powiedzieć, byśmy byli zniewieściałymi fizycznie, tchórzami, ludźmi bez energii na razie. Nie! to wcale co innego; przedsiębierczości i odwagi mamy, jeśli nie więcej, to przynajmniej tyle, co

i wszyscy; każdy z nas gotów jest wsiąść na nieokiełzanego konia i jechać, gdzie potrzeba. Ale pod względem psychicznym o każdym możnaby powiedzieć: *ona*, nie *on*. Brak w naszym ustroju duchowym jakiejś spokojnej, syntetycznej równowagi, pomijającej drobiazgi. Lada co nas razi, zniechęca i zraża, skutkiem czego co krok poświęcamy rzeczy niezmiernie wielkie dla niezmiernie małych. Moja przeszłość jest tego dowodem. Przecie ja poświęciłem niewypowiedziane szczęście całego życia, swoją przyszłość i przyszłość ukochanej kobiety, dlatego tylko, żem w swoim czasie wyczytał w liście ciotki, jakoby Kromicki miał zamiar starać się o rękę Anielki. Nerwy moje wzięły na kiel i poniosły mnie tam, gdziem nie chciał. Nie było to nic innego, tylko objaw choroby woli. Ale w ten sposób chorują *one*, nie *oni*. Cóż dziwnego, że i teraz postępuję, jak histeryczka! Jest to nieszczęście, które z sobą na świat przyniosłem, a na które składały się całe pokolenia, z dodatkiem wszystkich warunków życia, jakiem musimy żyć.

To zdjęcie z siebie odpowiedzialności nie przyniosło mi jednak żadnej pociechy. Przyjechawszy do Warszawy, miałem naprzód zamiar odwiedzić Klarę, ale napadł mnie gwałtowny

ból głowy, który przeszedł dopiero wieczorem, przed samem przybyciem ciotki.

Ciotka zastała mnie już ubranego, i wkrótce pojechaliśmy na koncert, który udał się świetnie. Sława Klary ściągnęła świat inteligentny i muzyczny, cel zaś dobroczynny sprowadził całe wyższe towarzystwo. Widziałem mnóstwo znajomych, między innymi Śniatyńskich. Sala była nabita. Ale byłem tak źle usposobiony, i nerwy moje były w takim rozstroju, że wszystko mnie gniewało. Nie wiem sam dlaczego, ogarnęła mnie obawa, że Klara zrobi fiasco. W chwili, gdy weszła na estradę, zdarzyło się, że ciągnęła za sobą po podłodze afisz, który uczepił się do garnirowania jej sukni. Wydało mi się, że to ją ośmiesza. Sama ona, przybrana w balową tualetę, odłączona od czarnego tłumu pustą przestrzenią estrady, czyniła mi wrażenie raczej obcej artystki, niż blizkiej znajomej i przyjaciółki. Mimowoli pytałem siebie: czy to jest ta sama Klara, z którą łączyła mnie serdeczna niemal zażyłość? Tymczasem powitalne oklaski umilkły. Na twarzach zjawiło się owo niby rozumne skupienie i powaga, za pomocą których ludzie, nie mający żadnego pojęcia o sztuce, udają znawców i sędziów. Klara siadła do for-

tepianu, i chociaż byłem zły na nią, równie jak na cały świat, musiałem jednak przyznać w duchu, że ma głowę szlachetną, lekko osadzoną, i układ artystyczny, pełen prostoty i wolny od przesady. Poczęła grać koncert Mendelsohna, który umiem na pamięć — i czy to dlatego, że czuła, iż oczekują od niej niezmiernie wiele, czy że była wzruszona niezwykle serdecznem przyjęciem, dość, że zaczęła grać gorzej, niżem się spodziewał. Uczyniło mi to wielką przykrość; spojrzałem na Klarę ze zdziwieniem, i oczy nasze spotkały się na jedną chwilę. Wyraz mej twarzy zmieszał ją do reszty, i znów usłyszałem kilka uderzeń mętnych, bez należytej siły i wyrazistości. Byłem już pewny fiasca. Nigdy fortepian ze swymi tonami, w których brak ciągłości zwiększa się jeszcze przez odległość i przygłuszoną tłokiem akustykę sali, nie wydał mi się nędzniejszym koncertowym instrumentem. Chwilami miałem wrażenie, że słyszę urywane dźwięki harfy. Po niejakim czasie Klara odzyskała równowagę, ale podług mnie, cały koncert grała miernie. Ogarnęło też mnie prawdziwe zdziwienie, gdy po zakończeniu rozległy się takie oklaski, jakich nie słyszałem nigdy w Paryżu, gdzie Klarę przyjmowano z wyjątkowym zapałem.

Muzycy powstali z miejsc i poczęli rozprawiać żywo ze sprawozdawcami; w rozjaśnionych ich twarzach czytałem wyraźne zadowolenie. Oklaski trwały tak długo, póki Klara nie ukazała się na estradzie. Wyszła ze spuszczonemi oczyma, a ja, który umiałem czytać w jej twarzy, czytałem wyraźnie: «Jesteście dobrzy, dziękuję wam, ale było źle i chce mi się płakać!» Biłem także brawo, za co otrzymałem przelotne, pełne wyrzutów spojrzenie. Klara nadto kocha sztukę, by ją mogły zadowolić niezasłużone oklaski. Uczułem dla niej litość; chciałem pójść za nią i powiedzieć parę słów otuchy, ale nieustające brawa nie puściły jej z estrady. Zasiadła znowu i zagrała Sonatę cis-mol Beethovena, której nie było w programie.

Niema, podług mnie, na świecie utworu, w którymby tak wyraźnie było widać duszę, targaną przez jakiś tragiczny niepokój. Mówię zwłaszcza o trzeciej części sonaty: «presto agitato». Nastrój ów odpowiadał widocznie chwilowemu rozdrażnieniu Klary, a z pewnością był zgodny z mojem usposobieniem, to też, jak żyję, nie słyszałem tak granego Beethovena i nie odczułem go tak dokładnie. Jam nie muzyk, ale przypuszczam, że i muzycy nie wiedzieli dotąd,

ile się w tej Sonacie mieści. Nie umiem znaleźć innego wyrazu na określenie wrażenia, jakiego doznali wszyscy, tylko: ucisk! Miało się poczucie, że staje się coś mistycznego, widzenie jakiejś zaświatowej pustki, przeraźliwie smutnej, bez kształtów, wpół rozwidnionej przez światło księżyca — wśród której krzyczy, łka i wyrywa sobie włosy beznadziejna rozpacz. Było to i straszne i przejmujące, bo działo się jakby już z drugiej strony życia, a zarazem nieprzeparcie pociągające, gdyż co do mnie przynajmniej, nigdy muzyka nie zetknęła mnie tak blizko z czemś absolutnem. Nie będąc więcej od innych ludzi wrażliwym, miałem niemal halucynacyę. Wydało mi się, że w tej pustce, w tym bezkształcie, w tym zagrobowym mroku, szukam kogoś droższego mi, niż świat cały, bez którego żyć nie umiem, nie mogę, nie będę, a szukam z tem przekonaniem, że muszę to czynić przez wieczność całą i że nigdy go nie odnajdę. Miałem serce tak ściśnięte, że mi tamowało oddech — nie zwróciłem najmniejszej uwagi na stronę zewnętrzną wykonania, które zresztą musiało dojść do tych wyżyn, na których niema już o niem kwestyi. Cała sala była pod podobnem wrażeniem, nie wyjmując samej Klary.

Gdy skończyła grać, pozostała czas jakiś z głową i oczyma podniesionemi w górę, z twarzą pobladłą i rozchylonemi ustami. I nie był to efekt estradowy, było to proste, wyższe tym razem nad wszelką wątpliwość, natchnienie i zapamiętanie. W sali trwała głucha cisza, jakby ludzie oczekiwali jeszcze czegoś, jakby zdrętwieli ze smutku, lub łowili ostatnie echa tej łkającej rozpaczy, którą porwał zaświatowy wicher. Później stało się coś takiego, co prawdopodobnie nie zdarzyło się nigdy na żadnym koncercie. W sali podniesiono taki okrzyk, jakby zgromadzonym zagroziła katastrofa. Kilku sprawozdawców i muzyków zbliżyło się do estrady. Widziałem głowy, pochylające się do rąk Klary. Ona miała łzy na rzęsach, ale twarz natchnioną, jasną i spokojną. Poszedłem wraz z innymi uścisnąć jej rękę.

Od pierwszej chwili naszej znajomości, aż do tego czasu, Klara mówiła do mnie zawsze po francusku; dziś dopiero po raz pierwszy, oddając mi gorąco uścisk dłoni, spytała po niemiecku:

— Haben Sie mich verstanden?

— Ja, — odpowiedziałem — und ich war sehr unglücklich.

Było tak rzeczywiście. Dalszy ciąg koncertu stał się dla Klary jednym wielkim tryumfem. Po skończeniu Śniatyńscy zabrali ją do siebie na wieczór. Ja nie chciałem jechać. Wróciwszy do domu, czułem się tak zmęczony, żem w ubraniu rzucił się na sofę i przeleżałem z godzinę, nie śpiąc. Dopiero na chwilę przed rozpoczęciem pisania spostrzegłem się, że rozmyślam ciągle o pogrzebie księdza, o Anielce i o śmierci. Następnie kazałem podać światło i zabrałem się do pióra.

28 kwietnia.

Listy Kromickiego pognębiły mnie do tego stopnia, że to wrażenie trwa dotąd. Nieuzasadniony żal mój do Anielki mija wprawdzie; im bardziej czuję, że niezasłużenie byłem dla niej tak szorstki, tem większa ogarnia mnie skrucha i z tem większą tkliwością myślę o niej. Ale za to coraz jaśniej widzę, jak nieubłaganie łączy tych ludzi sama siła faktów. Od wczoraj jestem w szponach tej myśli i dlatego nie pojechałem dziś do Płoszowa. Tam trzeba mi czuwać nad sobą, trzeba być spokojnym lub udawać spokój; w tej chwili nie wymógłbym tego na sobie. Wszystko, co jest we mnie: myśli,

uczucia, wrażenia, zmieniły się w jeden bunt przeciw temu, co się stało. Nie wiem, czy może istnieć stan bardziej rozpaczliwy, niż nie zgadzać się na coś, protestować każdym kawałkiem mózgu i serca, a jednocześnie czuć się wobec spełnionego faktu bezsilnym. Rozumiem także, że to jest zaledwie przedsmak tego, co mnie czeka. Nic do zrobienia, jedno nic! Poszła za mąż, jest panią Kromicką, należy do niego i będzie należała na zawsze — ja zaś, który nie mogę na to przystać, bo przystawszy, nie mógłbym istnieć — muszę przystać. Z równym skutkiem mógłbym protestować przeciw sile przyciągania ziemi, jak przeciw takiemu porządkowi rzeczy, na mocy którego kobieta, która raz za mąż poszła, należy do męża. Więc co? Zgodzić się z tym porządkiem? Co mi pomoże puste, czcze, bezmyślne słowo: «zgadzam się», — skoro w mojej istocie niema ani atomu zgody? Chwilami przychodzi mi do głowy, żeby wyjechać, ale czuję doskonale, że po za tą jedyną kobietą, świat ma dla mnie tyle znaczenia, ile śmierć, to jest tyle, ile nicość — i co więcej, wiem z góry, że nie wyjadę, bo nie znajdę na to dość siły. Nieraz miałem jakby rozumienie, że nędza ludzka może być większą od ludzkiego wyobrażenia

o niej, i że może być taki stan, w którym myśli o nędzy kończą się, a ona, jakby morze, idzie jeszcze i jeszcze dalej. W tej chwili wydaje mi się, że żegluję po tem morzu.

A jednak nie. Jest coś, co mi zostaje. Czytałem niegdyś w pamiętniku Amiela, że czyn to tylko zgęszczona aż do stanu materyi myśl. Ale myśl może pozostać w stanie oderwanym; uczucie — nie. Teoretycznie byłem tego świadom i przedtem, dopiero teraz jednak sprawdziłem ten pewnik na sobie samym. Od czasu mego powrotu do Płoszowa, aż do tej chwili nie powiedziałem sobie jasno i wyraźnie, że pragnę wzajemności Anielki, ale była to kwestya słów. W rzeczywistości wiedziałem o tem, że jej chcę i chciałem. Każde moje spojrzenie, każde słowo, wszystkie postępki — zdążały tylko do tego celu. Uczucie, które nie jest jednoznaczne z żądaniem i czynem — jest niczem. Niechże więc te słowa będą wymówione: chcę! Chcę dla Anielki stać się najbardziej upragnioną i najbardziej ukochaną istotą, jak ona jest dla mnie; chcę posiadać jej wzajemność, jej wszystkie myśli, jej duszę — i nie myślę stawiać granicy dla moich pragnień; uczynię wszystko, co mi nakaże serce, i użyję wszystkich środków, jakie

mój rozum uzna za najskuteczniejsze, aby jej wzajemność zdobyć. Zabiorę Kromickiemu tyle z Anielki, ile będę tylko mógł — a odbiorę ją całkowicie, jeśli tylko ona na to się zgodzi. W ten sposób będę miał cel w życiu, będę wiedział, dlaczego budzę się rano, dlaczego przyjmuję pokarm we dnie, dlaczego krzepię się snem. Nie będę zupełnie szczęśliwy, bo na to trzebaby mi nietylko zabrać ją całkowicie dla siebie, ale pomścić się na tamtym za to, że ją posiadał — będę jednak miał czem żyć. W tem mój ratunek. I nie jest to postanowienie powzięte w tej chwili; to tylko słowne stwierdzenie tych wszystkich sił, które poruszają się we mnie, tej woli i tych pragnień, które leżą w naturze uczucia i stanowią nierozdzielną część jego istoty.

Rozpędzam na cztery wiatry wszelkie skrupuły. Obawa, że Anielka będzie nieszczęśliwa, gdy mnie pokocha, musi ustąpić przed tą wielką jak cały świat prawdą, że sama obecność w sercu miłości, już wypełnia życie, już daje mu pokarm i jest sto tysięcy razy więcej warta, niż pustka i nicość życiowa.

Tysiące temu lat wiedziano już na świecie, że dobrem i moralnem jest tylko to, co potęguje życie, a pustka i nicość leżą w królestwie zła,

Chwila, w której ta ukochana głowa oprze się mi na piersiach, w której te drogie usta spoczną na moich, będzie aktem dobra i prawdy. Wśród zwątpień, jakie zalegają mi mózg, ta jedna świeci jasno — o tej jedynie mogę powiedzieć: wierzę, że tak jest. Znalazłem coś przecie pewniejszego w życiu. Wiem doskonale, jaki rozbrat leży między tą moją wiarą a ową zdawkową konwencyonalną moralnością, wyrabianą na codzienny użytek ogółu ludzi; wiem, że i dla Anielki będzie to świat obcy, przestraszający, ale wezmę ją za rękę i poprowadzę w ten świat, bo ze szczerem przekonaniem będę jej mógł powiedzieć: Tam jest dobro i prawda!

Znajduję pokrzepienie w podobnych myślach. Większa część dnia zeszła mi jednak bardzo źle, bo w poczuciu własnej niemocy, wobec tych wszystkich warunków, w jakich znajdujemy się oboje z Anielką. Przychodzi mi nawet do głowy i to, że ona może kocha Kromickiego. Na szczęście, przybycie po południu doktora Chwastowskiego przerwało bieg tego rodzaju przypuszczeń. Przyjechał on z Płoszowa na naradę ze starszym lekarzem, którego w swoim czasie wzywano do pani Celiny. Na odjezdnem przyszedł mnie odwiedzić. Powiedział, że pani Celina ma

się tak samo jak zawsze, ale że pani Kromicka miała zrana mocny ból głowy i nie pokazywała się przy rannej herbacie.

Następnie zaczął długo mówić o Anielce, a ja słuchałem go chętnie, bo zastępowało mi to niejako jej obecność i jej widok. Mówił zresztą, jak człowiek inteligentny, lubo młody. Oświadczył mi, że woli patrzeć na ludzi z niedowierzaniem, nie dlatego, żeby takie stanowisko uważał za jedynie słuszne, ale że na razie uważa je za bezpieczniejsze. Co do pani Kromickiej, sądzi jednak, iż może z całą pewnością policzyć ją do natur wyższych pod każdym względem. Odzywał się o niej w ogóle z taką żywością, iż przez głowę przemknęło mi przypuszczenie, że w głębi serca żywi dla niej coś więcej, niż podziw.

Przypuszczenie to nie sprawiło mi najmniejszej przykrości, zapewne ze względu na ogromną przestrzeń, dzielącą tego niedawnego studenta od Anielki. Owszem, byłem mu wdzięczny, że się na niej poznał, i zatrzymałem go dłużej, bo oprócz tego rozmowa z nim chroniła mnie od zbyt ciężkich myśli. W toku gawędki spytałem go, co zamierza robić na przyszłość. Odpowiedział mi, że naprzód musi zebrać trochę grosza

na wyjazd do klinik zagranicznych, następnie wróci do kraju i ustali się w Warszawie.

— Co pan rozumiesz przez ustalenie się w Warszawie?

— Pracę naukową przy jakim szpitalu i możliwą praktykę.

— I zapewne ożenisz się?

— Przyjdzie czas i na to, ale nie zaraz.

— O ile nie przyjdzie jakieś uczucie i nie opanuje woli. Pan, jako doktor, wiesz, że miłość jest potrzebą fizyologiczną.

Młody Chwastowski chciał jednak widocznie uchodzić za trzeźwą i tęgą głowę, wyższą ponad słabości ludzkie, wzruszył więc swemi szerokiemi ramionami, pogładził ostrzyżoną w szczotkę czuprynę i powiedział:

— Potrzebę uznaję, ale nie chcę jej przyznać więcej miejsca, niż jej się należy. Na każdą potrzebę jest rada.

Tu uśmiechnął się zwycięzko, lecz ja odrzekłem poważnie:

— Zastanowiwszy się nieco głębiej nad kwestyą uczucia, kto wie, czy warto dla czego innego żyć?

Chwastowski pomyślał przez chwilę.

— Nie! jest pełno innych rzeczy: choćby nauka,

choćby. obowiązki społeczne. Nie mówię nic przeciw małżeństwu: człowiek powinien się ożenić i dla siebie samego i dlatego, żeby mieć dzieci — bo to też obowiązek społeczny. Ale małżeństwo to co innego, a ciągły romans znów co innego.

— Jak pan to rozumiesz?

— Rozumiem tak, że my, panie, jesteśmy mrówki, które budują mrowisko. My, ludzie od roboty, nie mamy na to czasu, żeby życie poświęcać głównie kobietom i kochaniu się w nich. To dobre dla tych, którzy mogą nic nie robić, albo którzy nie chcą nic innego robić.

To rzekłszy, spojrzał na mnie, jak człowiek, który przemawia w imieniu najtęższych w kraju ludzi i przemawia równie silnie, jak mądrze. Patrzyłem z pewnem zadowoleniem na ten zdrowy okaz ludzkiego rodzaju — i przyznaję, że pominąwszy pewną młodocianą, prawie studencką pychę — to, co mówił, nie było wcale głupie. Prawdą jest, że kobieta i miłość dla niej nie odgrywają ani w połowie takiej niezmiernej roli w życiu ludzi pracy, lub życiu ludzi mających przed sobą poważne zadania, poważne cele. Chłop żeni się, byle się ożenić i założyć gospodarstwo. W rzeczywistości zdolność jego do głębokich uczuć jest mała, chociaż poeci i no-

weliści wmawiają w nas co innego. Człowiek naukowej pracy, mąż stanu, wódz, polityk, poświęcają kobiecie zaledwie małą cząstkę życia. Wyjątek stanowią artyści. Tych fachem jest kochać, albowiem sztuka sama istnieje przez miłość i kobietę. W ogóle zaś tylko w społeczeństwach bogatych, w których mnóstwo ludzi usuwa się od pracy, kobieta panuje wszechwładnie i wypełnia takim ludziom życie od wierzchu do dna. Opanowywa ona w nich wszystkie myśli, staje się motorem wszystkich czynności, wyłącznym celem zabiegów. I nie może inaczej być. Biorę oto siebie za przykład. Społeczeństwo, do którego należę, nie jest wprawdzie bogate tak, jak inne, ale ja osobiście jestem człowiekiem zamożnym. Z tej zamożności skorzystałem w ten sposób, żem nigdy nic nie robił, skutkiem czego nie miałem i nie mam określonego celu w życiu. Może byłoby inaczej, gdybym się był urodził Anglikiem lub Niemcem, ale ciążył jeszcze nade mną ten fatalny grzech pierworodny, który nazywają: «l'improductivité slave». Żaden ze składowych czynników dzisiejszej cywilizacyi nie pociągnął mnie i nie wypełnił mi duszy, z tej prostej przyczyny, że ta cywilizacya jest mdlejąca i przesiąknięta

sceptycyzmem. Jeśli ona sama czuje, że się kończy, i wątpi o sobie, trudno wymagać, abym ja w nią uwierzył i poświęcił jej życie. W ogóle więc żyłem jakby zawieszony w powietrzu, bom nie mógł przyczepić się do ziemi. Gdybym był człowiekiem suchym, zimnym albo bardzo głupim, albo zwierzęco-zmysłowym, byłbym ograniczył życie aż do roślinnego wegetowania, lub do zaspokajania zwierzęcych potrzeb — i istniałbym jakoś, ale zdarzyło się właśnie przeciwnie. Przyniosłem na świat żywy umysł, naturę bujną i siły żywotne niepowszednie. Siły te musiały znaleźć jakieś ujście — i mogły je znaleźć tylko w miłości dla kobiety. Nic innego mi nie pozostało. Jestem tego świadom — i poddaję się — bo zresztą próżno byłoby przeciw tej potędze walczyć. Miłość do kobiety — oto jedyna racya, jedyna podstawa mego życia. Całe moje nieszczęście polega na tem, że jako dziecko chorej cywilizacyi, wyrosłem krzywo, więc i ta miłość przyszła mi krzywo.

Prostota pojęć byłaby mi dała szczęście, ale o tem szkoda mówić. Każdy garbus radby się pozbyć swego garbu — jeno, że nie może, bo garbatym już był w łonie matki. Tak samo moje garby spowodowało nienormalne łono cy-

wilizacyi i epoki, która mnie na świat wydała. Ale krzyw, czy prosty, muszę kochać — i chcę.

4 maja.

Rozum mój poszedł zupełnie na służbę uczucia i stał się już tym woźnicą, który czuwa jedynie nad tem, by się wóz nie połamał. Od kilku dni znów jestem w Płoszowie i wszystko, co mówię i czynię, jest tylko taktyką miłości. Doktor Chwastowski miał rozum, że kazał Anielce chodzić, dla zdrowia, po parku. Znalazłem ją tam dziś rano. Bywają chwile, że uczucie, noszone w sercu, choćby z zupełną świadomością, ujawnia się z niezwykłą siłą i niemal przestrasza swoim ogromem. Taką chwilę miałem dziś, gdym na skręcie alei zobaczył Anielkę. Nigdy nie wydała mi się piękniejszą, więcej upragnioną, konieczniej mi należną. To jest właśnie ta, jedyna w świecie kobieta, której, z mocy tajemnych, zaledwie dopiero nazwanych przez naukę sił, przeznaczono pociągnąć mnie, jak magnes pociąga żelazo, opanować, przywiązać do siebie, stać się moim celem i wypełnieniem życia. Jej głos, postać, spojrzenie, upajają mnie. Dziś, gdym się do niej zbliżał, zdawało mi się, że ona nosi w sobie wdzięk nietylko swój własny, ale tej

porannej godziny, tej wiosny, tej pogody, tej radości ptaków i roślin, skutkiem czego jest dla mnie więcej, niż kobietą, bo zarazem wcieleniem piękności, ponęt i rozkoszy całej natury. I przyszło mi na myśl, że jeśli natura stworzyła ją tak, iż ona mocniej działa na mnie, niż na jakiegokolwiek innego mężczyznę, to tem samem przeznaczyła ją dla mnie — i że to moje prawo zostało podeptane przez jej zamążpójście. Kto wie, czy wszystkie krzywizny świata nie pochodzą właśnie z niespełniania takich praw i czy nie w tem leży niedoskonałość życia?

Miłość źle sobie ludzie wyobrażają z zawiązanemi oczyma. Przeciwnie: nic, żaden najdrobniejszy szczegół nie uchodzi jej wzroku; ona wszystko w istocie ukochanej widzi, wszystko zauważy — tylko wszystko stapia swym płomieniem w jedno wielkie i proste: kocham! Zbliżając się do Anielki, zauważyłem, że ma oczy błyszczące jeszcze, jakby ze snu, że na jej twarz i jasną perkalową suknię pada złoto-zielonawe światło przecedzonych przez młode grabowe liście promieni słonecznych; zauważyłem, że włosy jej związane są niedbale, że lekko puszczona bluzka zarysowywa, z niewypowiedzianym urokiem, wysmukły jej stan i ramiona, że

jest w jej uczesaniu i ubiorze jakieś zaniedbanie poranne, a zarazem jakaś świeżość, która potęguje tysiąckrotnie jej ponęty. Nie uszło mej baczności, że w tej alei wysokich grabów postać jej wydaje się drobniejsza niż zwykle i tak młoda, że prawie dziecinna — słowem, nic nie wymknęło się mej uwadze, ale wszystkie spostrzeżenia zmieniły się w jeden zachwyt człowieka, który kocha bez pamięci.

Na moje «dzień dobry» odpowiedziała z pomieszaniem. Od kilku dni ona się mnie boi, bo hypnotyzuję ją każdem słowem, każdem spojrzeniem. Pogoda jej myśli jest już zmącona, ferment wprowadzony do duszy. Nie mogła nie spostrzedz, że ją kocham, a jednocześnie widzę wyraźnie, że nie chce przyznać się do tej myśli za żadne skarby świata, nawet sama przed sobą. Czasami uczuwam takie wrażenie, jakbym trzymał w ręku gołębia i czuł pod palcami jego zalęknione, bijące niespokojnie serce. Szliśmy w kłopotliwem milczeniu, którego nie przerywałem umyślnie. Wiem, że takie zakłopotania są dla niej ciężkie, ale czynią ją już poniekąd moją wspólniczką i zbliżają mnie do celu. W ciszy, jaka nas otaczała, słyszeliśmy tylko skrzy-

pienie piasku pod naszemi nogami i wesołe pogwizdywania wilg, których pełno było w parku.

Począłem wreszcie rozmowę. Kierowałem nią, jakem sam chciał, bo jakkolwiek umysł mój zamknięty był na wszystkie wpływy zewnętrzne, nie mające związku z uczuciem, za to w zakresie mego uczucia posiadałem niemal zdwojoną przytomność i bystrość taką, jaką posiadają ludzie, pogrążeni w śnie magnetycznym, którzy w danym kierunku widzą jaśniej od ludzi normalnych. Przeszliśmy prędko na tory osobiste. Mówiłem o sobie tym tonem poufnych zwierzeń, jakim się mówi do istoty najbliższej, która jedna na świecie ma prawo wiedzieć wszystko. Wytwarzał się przez to między nami cały świat porozumień i wspólności, należący tylko do nas dwojga. Ponieważ zaś taki związek powinien był, z mocy małżeństwa, istnieć tylko między nią a mężem, więc wiodłem ją tem samem do duchowego przeniewierstwa krokami tak nieznacznymi, że ich nie mogła dostrzedz.

Subtelna ta natura przeczuwała jednak, iż idziemy jakąś niezwykłą drogą. Prowadziłem ją jakby za rękę, coraz dalej i dalej, lecz prowadząc, czułem pewien moralny opór. Zdawałem sobie doskonale sprawę i z tego, że opór ten

zwiększyłby się natychmiast, gdybym ją pociągnął silniej, lub gdyby niebezpieczeństwa nie były tak nieuchwytne. Ale widziałem jasno, że przewaga jest po mojej stronie, i że zwolna zaprowadzę ją, dokąd zechcę.

Tymczasem mówiłem umyślnie o przeszłości.

— Pamiętasz, — rzekłem — jak za dawnych, lepszych czasów pytałaś mnie niegdyś, czemu nie siedzę w kraju i pozwalam marnować się tym zdolnościom, które ludzie widzą we mnie. Co do mnie, pamiętam każde twoje słowo. To było wówczas, gdy wróciłem późno z miasta, a ty czekałaś na mój powrót... Trudno mi nawet powiedzieć, jakiś ty miała na mnie ogromny wpływ. Nie mogłem się zabrać odrazu do jakiejś roboty, bo musiałem wyjechać; potem przyszła śmierć ojca... Ale słowa twoje zapadły we mnie, i powiem ci szczerze, że jeżelim wrócił, jeżeli zamierzam stale tu osiąść i coś robić, jeżeli wreszcie czegoś dokażę — to będzie twój wpływ i twoja zasługa...

Przez chwilę trwało między nami milczenie — słyszałem tylko ciągle pogwizdywanie wilg. Anielka widocznie szukała odpowiedzi, nakoniec odrzekła:

— Niepodobna mi temu uwierzyć, żeby taki

człowiek, jak ty, nie miał innych, ważniejszych powodów. Ty doskonale wiesz, że to jest obowiązek, a tamto minęło i teraz jest zupełnie co innego.

— Jest co innego i nie jest — odpowiedziałem. — Może, jak zacznę jakąś robotę, to z czasem znajdę w niej samej i zachętę i zamiłowanie. Ale człowiek jak ja, który wbrew temu, co mówisz, nie poczuwał się nawet do obowiązku zajęcia się czemśkolwiek, musi mieć jakieś osobiste powody do gruntownej odmiany życia... I im mu gorzej na świecie, tem mu potrzebniejsza taka osobista pobudka... A po co mam przed tobą kłamać?... Ja wcale nie jestem szczęśliwy... Poczucie obowiązków społecznych to bardzo piękna rzecz — tylko na nieszczęście, ja go nie mam. Ty, która jesteś lepsza i szlachetniejsza ode mnie, mogłaś była mnie tego nauczyć... stało się inaczej... Ale i dziś jeszcze, tylko przez pamięć, żeś ty niegdyś chciała ode mnie pracy, tylko przez ciebie i dla ciebie potrafiłbym cośkolwiek przedsięwziąć.

Anielka przyśpieszyła kroku, jakby pragnęła zaraz wracać do domu, i odpowiedziała mi, prawie szepcząc:

— Nie mów tak, Leonie, proszę cię, nie mów

tak. Przecie ty rozumiesz, że ja nie mogę przyjąć takiej intencyi.

— Czemu nie możesz? Nie chciej mnie źle rozumieć. Jesteś i zostaniesz dla mnie zawsze bardzo kochaną siostrą. Nic więcej nie chciałem ci powiedzieć.

Anielka podała mi rękę prawie gorączkowo, którą podniosłem do ust zwolna i z największą czcią.

— Tak, zostanę, zawsze zostanę! — odpowiedziała pośpiesznie.

A ja widziałem, że jakby kamień spadł jej z serca, tak ją uspokajał, ujmował i wzruszał ten jeden wyraz: siostra. To sprawiło, żem i ja zdołał zapanować nad sobą, bo w pierwszej chwili, gdym ustami dotknął tej najdroższej ręki, prawie mi w oczach pociemniało, i chciałem objąć ją, przytulić do siebie i wyznać całą prawdę.

Tymczasem twarz Anielki stała się jaśniejsza i weselsza. W miarę, jak zbliżaliśmy się do domu, niepokój jej niknął, ja zaś, widząc, jak bardzo ją sobie ujmuję, idąc taką drogą, mówiłem dalej tonem spokojnej, zwykłej rozmowy:

— Widzisz, siostrzyczko, koło mnie jest ogromna pustka. Ojciec mój nie żyje, ciotka jest

święta kobieta, ale nam trudno się zrozumieć, bo ona ani nowych czasów, ani nowych ludzi nie pojmuje. Jej wyobrażenia są zupełnie inne od moich. Nie ożenię się nigdy, więc — pomyśl tylko, jaki ze mnie samotnik! Nikogo naokoło! Nikogo, z kimby się podzielić, czy to myślą, czy zamiarem, czy zwierzyć się ze zmartwieniem... Pustka i pustka... Powiedz-że sama: co w tem dziwnego, że szukam współczucia tam, gdzie spodziewam się je znaleźć?... Jestem, jak dziad kaleka, który staje przed bramą, czekając, czy mu nie wyniosą parę groszy. W tej chwili ten dziad, naprawdę bardzo biedny, staje pod twojem oknem i żebrze o trochę życzliwości, przyjaźni i miłosierdzia. Ani mu w głowie coś więcej, niż jałmużna, ale przecie jałmużny mu nie odmówisz?... prawda?

— Prawda, Leonie — odpowiedziała Anielka — prawda; tembardziej, że jeśli ci tak źle...

Tu słowa urwały się jej i usta poczęły drżeć. Znów potrzebowałem całej siły, żeby jej nie upaść do nóg. Wzruszyłem się sam jej widokiem do tego stopnia, iż i mnie gardło ścisnęło się jakby płaczem.

— Anielko! Anielko! — ozwałem się, nie wiedząc, co mam jej powiedzieć.

Lecz ona poczęła potrząsać dłońmi, jakby się chciała ode mnie odpędzić, wreszcie powiedziała wśród łez:

— Zaraz, zaraz!... uspokoję się. Nie mogę tak wrócić... pozwól mi...

I odeszła szybko.

— Przepraszam cię, Anielko! — zawołałem za nią.

Naprzód chciałem koniecznie biedz w jej ślady, alem pomyślał, że trzeba ją zostawić samą, goniłem ją więc tylko wzrokiem. Wróciła się pośpiesznie w tę samą aleję, po której chodziliśmy poprzednio, potem skręciła w bok. Czasem gąszcz przesłaniał ją, to znów jasna jej suknia ukazywała się w przerwach drzew, błyszcząc bardzo w słońcu. Zdala widziałem, jak składała, rozpinała i znów składała parasolkę, pragnąc widocznie tem fizycznem zajęciem rozproszyć wzruszenie. Przez ten czas wołałem na nią w duszy wszystkimi najsłodszymi wyrazami, jakie może podyktować miłość. Nie mogłem wymódz na sobie, by odejść, nie spojrzawszy raz jeszcze w jej twarz; musiałem jednak czekać dość długo. Wróciła wreszcie, ale przeszła koło mnie prędko, jakby się bojąc ponownego wzruszenia; uśmiechnęła się tylko po

drodze do mnie z anielską przyjaźnią i słodyczą — i rzekła:

— Już dobrze! już dobrze!

Jakoż na zarumienionej od prędkiego ruchu jej twarzy nie znać było łez. Zostałem sam, i chwyciła mnie szalona, nieopisana radość, nadzieja przepełniła mi serce, w głowie miałem tylko jedną myśl: ona mnie kocha, broni się, nie poddaje, łudzi się sama, ale kocha. Czasem najbardziej świadomy siebie człowiek staje pod nadmiarem uczuć prawie na granicy szaleństwa — ja zaś byłem jej tak blizko, że chciało mi się lecieć w głąb parku i tarzać się w trawach i krzyczeć na cały głos, że ona mnie kocha.

W tej chwili, gdy już spokojniej rozmyślam nad tą radością, widzę, że składała się ona z Bóg wie ilu czynników. Było w niej między innemi i szczęście mistrza, który czuje, że mu się arcydzieło udaje, było może i zadowolenie pająka, pewnego, że mucha wpadnie w jego sieci — ale była i dobroć i litość i tkliwość i to wszystko, z czego, jak mówi poeta, radują się anieli w niebie. Żal mi było, że to bezbronne biedactwo musi wpaść w moje ręce, i zarazem żal ten wzmagał miłość, a więc i chęć zdobycia

Anielki; jednocześnie doznawałem wyrzutów, że ją oszukuję, i jednocześnie miałem poczucie, żem nigdy w życiu nie mówił tak szczerze i tak z głębi serca.

Bom przecie nie kłamał, prosząc jej o współczucie i o przyjaźń. Potrzeba mi i tego, jak zdrowia. Nie wypowiedziałem tylko wszystkich żądań, bo nie przyszedł na to czas; nie wypowiedziałem całej prawdy, by nie przestraszyć tej drogiej a bojaźliwej duszy. Wreszcie zdążam do mego i jej dobra drogą, która najprościej do niego wiedzie.

10 maja.

Pogoda na niebie i pogoda między nami. Anielka jest spokojna i szczęśliwa. Uwierzyła głęboko słowom moim, że nie chodzi mi o nic więcej, niż o braterskie uczucia, że zaś sumienie pozwala jej kochać mnie miłością siostry, więc dała folgę sercu. Ja jeden wiem, że to jest lojalny sposób oszukiwania samej siebie i oszukiwania męża, bo pod stemplem tego siostrzanego uczucia kryje się i wzrasta w niej inne; ale naturalnie nie myślę wywodzić jej z błędu, póki owo uczucie nie stanie się nieprzepartem... Ogarnie ją ono wkrótce, jak płomień, którego

nie przytłumi ni wola, ni poczucie obowiązku, ni wstydliwość tej kobiety białej, jak łabędź. Tymczasem i mnie jest dobrze, tak dobrze, że chwilami mam poczucie, iż mógłbym niczego więcej nie żądać, pod tym jednym tylko warunkiem, żeby nikt nie miał do niej żadnych praw. Ciągle wraca mi do głowy myśl, że ponieważ ja kocham ją najbardziej, więc moje prawo jest najlepsze. Co może być nad to logiczniejszego i słuszniejszego? Wszakże w etyce wszystkich ludów i wszystkich wyznań przynależność wzajemna mężczyzny i kobiety wspiera się na miłości.

Ale dziś taki jestem uciszony i szczęśliwy, że wolę czuć, niż rozumować. Panuje teraz między nami wielka serdeczność, swoboda i zażyłość. Jak my jednak byliśmy dla siebie stworzeni, jak nasze istoty lgną do siebie, jak to kochane biedactwo wygrzewa się i rozkoszuje w tem zwodniczem cieple braterskich uczuć! Nigdy, od czasu powrotu, nie widziałem jej tak wesołą. Nieraz poprzednio, gdym na nią patrzył, przypominał mi się Szekspirowski «poor Tom». Taka natura, jak jej, potrzebuje miłości, jak powietrza do oddychania, a ów Kromicki, zajęty spekulacyami, nie kocha jej dostatecznie i nie

jest zdolny kochać. Ona słusznie mogłaby się skarżyć i powtarzać za Szekspirem: «Biednemu Tomkowi zimno». Myśląc o tem, nie mogę się oprzeć rozrzewnieniu i przyrzekam jej w duszy, że jej nie będzie zimno, póki ja żyję.

Gdyby miłość nasza była złą, nie mógłby się unosić nad nami taki spokój. Bo, że Anielka nie nazwała swego uczucia po imieniu — to wszystko jedno: niemniej ono istnieje. Cały dzisiejszy dzień zeszedł nam jak sielanka. Nie lubiłem dotąd niedzieli; teraz spostrzegam, że niedziela od rana do wieczora może być jednym poematem, zwłaszcza na wsi. Zaraz po herbacie poszliśmy do kościoła na ranną wotywę. Ciotka szła z nami, a nawet i pani Celina, korzystając z cudnej pogody, kazała się przy nas toczyć w fotelu. Ludzi było niewiele, bo lud zbiera się tłumnie dopiero na sumę. Siedząc w ławce, obok Anielki, miałem jakieś błogie złudzenie, że siedzę obok mojej narzeczonej. Chwilami spoglądałem na jej słodki, kochany profil, na ręce, które trzymała oparte przed sobą na ławce, i to skupienie, jakie było widać w jej postawie i twarzy, udzielało mi się mimowoli. Zmysły moje uśpiły się, myśli stały się czyste, i kochałem ją w tej chwili zupełnie idealną miłością, bom czuł,

jak nigdy, że to jest bezwzględnie inna kobieta od tych, które spotykałem dotychczas — stokroć lepsza i czystsza.

Dawno nie zaznałem podobnych wrażeń, jak w tym wiejskim kościele. Złożyła się na nie i obecność Anielki i powaga kościelna i łagodne migotanie świec w mroku ołtarza i smugi kolorowe światła z okien i świegot wróbli przy szybach i cicha msza. Wszystko to miało w sobie jeszcze jakąś senność poranną, a oprócz tego było ogromnie kojące. Myśli moje zaczęły się układać tak równo i spokojnie, jak obłoki dymu z kadzielnicy przed ołtarzem. Zbudziło się we mnie coś, jakby chęć ofiary z siebie, i głos wewnętrzny jął mi mówić: «Nie mąć tej jasnej wody, uczcij jej przezroczystość».

Tymczasem msza się skończyła i wyszliśmy z kościoła. Przed progiem kościelnym spostrzegłem z niemałem zdumieniem oboje starych Łatyszów, siedzących na ziemi, z drewnianemi miseczkami w ręku i proszących o jałmużnę. Ciotka, która wiedziała o moim datku, wpadła na ich widok w wielki gniew i poczęła ich łajać, lecz stara Łatyszowa, nie przestając wyciągać ku nam swojej miseczki, odrzekła spokojnie:

— Co je pańska hojność, to pańska hojność, a co wola Boska, to wola Boska. Woli Boskiej nie trza się przeciwić. Kiejś nam, Jezusicku, kazał tu siedzieć, to ostaniem, teraz i na wieki wieków, amen.

Z tego rodzaju rozumowaniem nie było się co spierać. Zwłaszcza owo «na wieki wieków, amen» zaimponowało mi do tego stopnia, że dałem im jałmużnę dla samej oryginalności. Ten lud wierzy w gruncie rzeczy w przeznaczenie; poddając się mu ślepo, chrystyanizuje je tylko na własny sposób. Tacy Łatyszowie, którym dałem tysiąc dwieście rubli, są teraz zamożniejsi, niż byli kiedykolwiek, a jednak poszli pod kościół, w przekonaniu, że im tak kazało przeznaczenie, które staruszka nazywa po swojemu: wolą Boską.

Wracaliśmy teraz do domu. Dzwoniono właśnie na sumę. Drogą ciągnęły gromady mężczyzn i kobiet. Ludzie z dalszych folwarków szli gęsiego przez pola, ścieżkami w zbożu, które, lubo jeszcze zielone, wyrosło już tej wczesnej wiosny dość wysoko. Jak okiem sięgnąć, widać było w jasnych głębiach powietrznych jaskrawe chustki dziewcząt, jak różnobarwne kwiaty

maku, rosnącego wśród zieleni. Mówiąc nawiasem, takich szerokich przestrzeni powietrznych niema w całej Europie, jak u nas. Co mnie także uderzyło, to ów wybitny charakter niedzielny, widoczny zarówno w ludziach, jak w naturze. Prawda, że pogoda była przepyszna, ale zdawało się, że wiatr nie wieje dlatego, że to niedziela, że zboże nie kołysze się łanem i liście nie trzęsą się na topolach, bo niedziela; wszędy wielki a wesoły spokój, cisza, odświętne stroje i w bród światła.

Wyjaśniałem Anielce, ze stanowiska sztuki, piękności widoku i tych barwnych plam, harmonizowanych przez błękitny ton powietrza. Potem zaczęliśmy mówić o chłopach. Ja przyznaję się, że widziałem w nich tylko wielki zbiór mniej lub więcej malowniczych modeli. Anielka za to patrzyła na nich zupełnie inaczej. Opowiadała mi o nich mnóstwo charakterystycznych rzeczy, smutnych i wesołych, przyczem ożywiła się opowiadaniem i ruchem i tak była urocza, że mimowoli począłem, spoglądając na nią, powtarzać trzy ostatnie wiersze poematu, który pisałem jeszcze w uniwersytecie, a którego całej reszty zapomniałem zupełnie:

»I dziwię się tylko, że kwiaty
»Pod twemi stopami nie rosną,
»Ty maju, ty raju, ty wiosno!«

Rozmowa zeszła znów na Łatyszów, a raczej na starą Łatyszową, której podkościelne rozumowania rozśmieszyły nas w końcu. Poczęłem stosować je do siebie. Ponieważ ciotka pozostała z panią Celiną, którą służący toczył w wózku o kilkanaście kroków za nami, mogłem z całą swobodą wspomnieć o naszej ostatniej przechadzce po parku.

— Niedawno — rzekłem — ja prosiłem cię o jałmużnę, a ty mi ją dałaś. Widzę teraz, że mnie to nic obowiązuje do niczego i że mogę iść pod kościół.

— Aha! — odpowiedziała Anielka — i prosić inne dusze miłosierne o to samo. Ciocia wybierze się dziś, by jedną taką duszyczkę zaprosić na jutro do Płoszowa; rozumiem!

W odpowiedzi rzekłem, że Hilstówna jest za duża, żeby ją jedno serce zdołało pomieścić, i że trzebaby się co najmniej we trzech w niej kochać, ale Anielka nie przestała się ze mną przekomarzać i, wygrażając mi palcem, powtarzała:

— Coś ja tam podejrzewam, coś podejrzewam!

— Na teraz niesłusznie, — odpowiedziałem — bo serce moje jest składem tylko braterskich uczuć, i panuje w niem wyłącznie to złośliwe stworzenie, które mi w tej chwili dokucza.

Anielka przestała mi wygrażać i śmiać się, a jednak zwolniła kroku, i po chwili połączyliśmy się ze starszemi paniami. Zresztą cały dzień zeszedł nam bez chmurki i tak wesoło, iż często wydawało mi się, że jestem studentem. Oczyma mówiłem jej wprawdzie, że ją kocham — ale pożądanie spalo we mnie. Była mi na to tego dnia zbyt droga. Ciotka zaraz po śniadaniu pojechała do Warszawy; ja resztę dnia przesiedziałem w pokoju pani Celiny, czytając jej listy Montalamberta, z którym ojciec mój był swego czasu w korespondencyi. Listy owe nudziłyby mnie dosyć, gdyby nie obecność Anielki. Podnosząc oczy od książki, spotykałem jej wzrok, który napełniał mnie radością, bo albom zupełnie stracił dar sądu, albo patrzyła na mnie, jak patrzy kobieta niewinna i czysta, ale nieświadomie całą duszą kochająca. Co to był za dobry dzień! Ciotka przyjechała wieczo-

rem z zapowiedzią gości. Będą jutro Śniatyńscy i Klara Hilst.

Jest już dość późno, ale nie chcę spać, bo mi szkoda rozstawać się z wrażeniami dzisiejszego dnia. Sen nie może być od nich piękniejszy. Przytem park trzęsie się literalnie od śpiewu słowików, a we mnie tyle jeszcze siedzi starego romantyka! Noc przyszła równie pogodna, jak był dzień. Niebo nabite gwiazdami. Myśląc o Anielce, mówię jej w duszy: dobranoc! Powtórzyłem ten wyraz ze sto razy. Widzę, że obok «l'improductivité slave» jest we mnie w dodatku jakiś wyłącznie polski sentymentalizm. Nie znałem się dotąd z tej strony. Ale co mi to szkodzi... Kocham ją bardzo!

13 maja.

Klara i Śniatyńscy nie przyjechali. On dał znać, że wybiorą się jutro, jeżeli pogoda będzie odpowiednia. Dziś srożyła się nad Płoszowem taka burza, jakiej nie pamiętają tu dawno. Około dziesiątej rano zerwał się gorący wicher, który przesłonił świat kłębami kurzu. Nie wiał on ciągle, ale uderzenia przychodziły do południa jedne po drugich tak gwałtowne, że przyginały drzewa do ziemi. Nasz piękny park napełnił

się trzaskiem łamanych gałęzi, a wśród tumanów kurzu unosiły się chmury zerwanych liści. Wielka lipa, stojąca przed prawym pawilonem, w którym umarł ksiądz Łatysz, rozszczepiła się na dwie połowy. Było nieznośnie duszno; płucom naszym brakło powietrza; zdawało się, że ten wicher wychodził z jakichś rozpalonych czeluści i niesie z sobą czad węgli. Mnie, przywykłemu do siroko we Włoszech, niewiele to szkodziło, ale pani Celina cierpiała ogromnie, Anielka z nią razem, ciotka zaś zrobiła awanturę staremu Chwastowskiemu o szkody w parku. Czupurny szlachcic, którego zapewne nieraz w szkołach wytargano za uszy z powodu Homera, nie zapomniał widocznie ani Odysei, ani języka w ustach, bo zapowiedział ciotce, że gdyby był Eolem, toby nie służył u niej za rządcę i nie narażał się na niesłuszne napaści. Ciotka ustąpiła tym razem, zdaje się, głównie z powodu nowych gróźb ze strony nieba. Oto od południa uciszyło się nagle, natomiast poczęły się toczyć olbrzymie wały chmur, naprzemian czarnych, jak kir, lub bramowanych złotem, o tułowiach koloru miedzi. Chwilami robiło się ciemno, jak w nocy, tak, że pani Celina prosiła o zapalenie lamp, to znów padał na świat złowrogi rudy

blask. W całej naturze był jakby przestrach. Pan Chwastowski poleciał na folwark, by kazać sprowadzić bydło z pola, ale pastusi przygnali je sami przed otrzymaniem rozkazów, wkrótce bowiem usłyszeliśmy żałosny ryk krów, który wśród tej ciszy przed burzą dochodził aż do zabudowań folwarcznych. Ciotka, chwyciwszy loretański dzwonek, poczęła obiegać cały pałac i dzwonić zawzięcie. Nawet nie próbowałem tłómaczyć jej, że dzwonienie, wśród atmosfery tak nieruchomej, może raczej sprowadzić, niż oddalić pioruny — i pomimo doskonałej świadomości, że w danym razie nie potrafię jej nic dopomódz, towarzyszyłem jej w tej wycieczce, bo mi wstyd było, żeby narażała się sama. Ciotka była poprostu pyszna, gdy z głową podniesioną spoglądała wyzywająco w te czarne i miedziane zwały chmur — i przygrażała im swoim dzwonkiem. Nie żałowałem, żem z nią poszedł, bom miał przed sobą jakby symboliczny obraz: w chwili, gdy wszystko drży przed grozą, przylega w przerażeniu i drętwieje, wiara jedna nie boi się, wyzywa — i dzwoni! Jest to, bądź co bądź, pierwiastek nieobliczonej potęgi w duszy ludzkiej.

Wróciliśmy, gdy pierwsze grzmoty jęły rozta-

czać się naokół po niebie. W kilka minut huk stał się nieustający. Miałem takie wrażenie, że gdy się grzmot toczy po podścielisku chmur, pułap ich zarywa się co chwila pod nim i wszystko razem zwala się z nieopisanym łoskotem na ziemię. Piorun palnął w staw, leżący w końcu parku, a zaraz po nim drugi, jeszcze bliżej, tak, że aż ściany naszego płoszowskiego domu zadygotały w podstawach. Panie moje poczęły odmawiać litanię, ja zaś miałem chwilę wielkiego niesmaku, wydało mi się bowiem, że jeśli ją będę odmawiał razem z niemi, będzie to z mojej strony hipokryzya; jeśli nie, to będzie wyglądało na popis źle wychowanego mędrka, nie biorącego w rachubę zwykłego wiejskiego obyczaju i przedewszystkiem strachu kobiet. Niebawem spostrzegłem jednak, że mylę się, posądzając je o strach; twarze ich były spokojne, a nawet pogodne. Widocznie ta obyczajowa litania wydała im się tak warownym puklerzem przeciw wszelkim niebezpieczeństwom, że na obawę nie było już miejsca w ich sercach. Przyszła mi wówczas do głowy także i inna myśl, a mianowicie, jakim ja jestem obcym duchem wśród tych trzech polskich kobiet, z których każda wie dziesięć razy mniej, a jest, wedle zwykłej ludzkiej miary,

warta dziesięć razy więcej ode mnie. One są jak książki, o stosunkowo niewielkiej liczbie stronnic, ale pełne jasnych i prostych prawideł — gdy tymczasem we wszystkich tych tomach, z których się ja składam, niema ani jednej niewątpliwej prawdy — i ja pierwszy gotówem zwątpić o każdej.

Ale była to krótka chwila, bo rozpędziła ją burza, która istotnie przybierała coraz straszniejsze rozmiary. Wicher zerwał się znów z taką siłą, że park kładł się pod jego uderzeniami. Były chwile, że nagle ustawał, a wówczas strumienie dżdżu lały się na ziemię. Widziałem nie krople, ale nieprzerwane sznury wody, łączące niebo z ziemią. Aleje parku zamieniły się w rwące potoki. Czasem niespodziany, straszliwy podmuch rozbijał w pył wszystką wodę, zawieszoną między niebem a ziemią — i świat przesłaniał się tak zbitym tumanem mgły, że o krok nie można było nic dojrzeć. Ogłuszająca kanonada grzmotów trwała bez przerwy. Powietrze było przeładowane elektrycznością. Pulsa moje biły ciężko; nawet w pokojach dawał się czuć ów drażniący zapach burzy, który powstaje z uderzeń piorunów. Nakoniec, za przykładem zewnętrznych żywiołów, rozpętały się moje myśli

i pragnienia. Zapomniałem o burzy, widziałem tylko przed sobą Anielkę; straciłem zupełnie panowanie nad sobą, i zbliżywszy się do niej, rzekłem:

— Chcesz patrzeć na burzę?

— Dobrze — odpowiedziała.

— Pójdź obok, do tamtego pokoju... Tam jest okno weneckie...

Poszła, i stanęliśmy w oknie. W tej chwili mrok uczynił się prawie zupełny, ale co kilka sekund rozdzierały go błyskawice, białe i czerwone, odsłaniając głębiny nieba, a zarazem rozświecając nasze twarze i cały świat, zasnuty falą. Anielka była spokojna, tylko za każdym błyskiem wydawała mi się bardziej pożądana.

— Nie boisz się? — spytałem, szepcząc.

— Nie...

— Daj mi rękę...

Ona spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Chwila jeszcze, a byłbym ją porwał i usta przycisnął do jej ust — poczem niechby się Płoszów zapadł w ziemię, ale ona zlękła się — nie burzy — tylko mego wyrazu twarzy i tego szeptu, bo cofnąwszy się szybko od okna, wróciła do pokoju, w którym siedziały starsze panie.

Zostałem sam — z poczuciem gniewu i upo-

korzenia. Byłbym niewątpliwie nadużył ufności Anielki, a jednak zdawało mi się, że tym brakiem zaufania wyrządziła mi obelgę. Postanowiłem dać jej to uczuć. Wśród podobnych wrażeń nie prędko odzyskałem równowagę; z godzinę jeszcze stałem przy oknie, patrząc bezmyślnie w oślepiające błyskawice. Tymczasem na świecie stawało się coraz jaśniej, nakoniec chmury przerwały się, i w przerwie zajaśniało słońce, świetne, jakby wykąpane i jakby zdziwione spustoszeniami, które narobiła burza.

Były one bardzo znaczne; alejami parku płynęła jeszcze żółta i zapieniona woda, nad którą sterczały odłamane gałęzie. Gdzieniegdzie widać było zwalone drzewa lub widne zdaleka na pniach odarcia, nakształt wielkich ran. Jak okiem sięgnąć, wszędy zniszczenie i ruina, niby po bitwie.

Gdy woda nieco spłynęła, wyszedłem ku stawom, chcąc bliżej obejrzeć szkody. Nagle cały park zaroił się ludźmi, którzy z jakąś dziwną energią i radością poczęli porywać odłamane gałęzie i rąbać zwalone pnie. Pokazało się, że to komornicy wiejscy, nie mający własnego lasu, zbiegli się z siekierami do parku przez połamane siłą burzy sztachety, by zaopa-

trzyć się w drzewo. W gruncie rzeczy było mi to wszystko jedno, ale ponieważ uczynili to bez pozwolenia i w jakiś dziki sposób, ponieważ zresztą byłem w złem usposobieniu, więc począłem ich wypędzać z wielkim gniewem, który wzrastał w miarę ich oporu. Zagroziłem już im wójtem, gdy nagle ozwał się za mną najsłodszy w świecie dla moich uszu głos, pytając po francusku:

— Czy to naprawdę co szkodzi, Leonie, że oni uprzątną park?

Obróciłem się i ujrzałem Anielkę w chusteczce na głowie, podwiązanej pod brodę. Obiema rękoma podtrzymywała sukienkę, odsłaniając do kostek swoje małe stopy, przybrane w wysokie buciki — i pochylona nieco, patrzyła na mnie jakby z prośbą.

Na jej widok gniew mój zniknął w jednej chwili — zapomniałem o tych przykrych wrażeniach, przez które przeszedłem niedawno — i tylko patrzyłem na nią, nie mogąc oczu nasycić.

— Każesz? — spytałem.

I zwróciwszy się do ludzi, rzekłem:

— Podziękować pani i brać drzewo.

Tym razem spełnili mój rozkaz chętnie. Nie-

którzy, nie znając widocznie stosunków dworskich, nazywali ją, dziękując, «jasną panienką», co mi sprawiało niewysłowioną rozkosz. Gdyby Płoszów był mój, byłbym pozwolił na jedno jej słowo wyrąbać cały park. W pół godziny wszystko, co połamała burza, było uprzątnięte, i park rzeczywiście przybrał weselszy pozór. Chodząc z Anielką po alejach, znaleźliśmy pełno jaskółek i innych ptaków, albo zupełnie pobitych przez burzę, albo nawpół żywych i nawskroś przemoczonych. Zbierając je i oddając Anielce, dotykałem jej rąk, spoglądałem jej w oczy, i znów było mi dobrze. Sielanka poprzedniego dnia wróciła dla nas obojga, a z nią swoboda i wesołość. Ja miałem serce do dna rozradowane, bom widział to, czego nie widziała Anielka, to jest, że było między nami, w tych niby braterskich stosunkach, dwa razy tyle tkliwości, ile mogło i powinno było być między, choćby najczulszem, rodzeństwem. Byłem zupełnie pewny, że ona kocha mnie nieświadomie, ale kocha zupełnie tak, jak ja ją. W ten sposób większa część moich nadziei i moich zamiarów była już spełniona — pozostawało mi tylko doprowadzić ją do świadomości i do poznania tego uczucia.

Gdy o tem teraz myślę, przypominam sobie z bijącem ze szczęścia sercem to, com niegdyś już w tym pamiętniku napisał, że żadna w świecie kobieta nie oprze się mężczyźnie, po którego stronie stoi jej serce.

15 maja.

Goście nasi przyjechali dopiero dziś, nie wczoraj, i słusznie zrobili, bo dziś dopiero obeschło należycie i pogoda była prześliczna. Ten piętnasty maja będzie jednym z najpamiętniejszych dni w mojem życiu. Teraz jest już po północy, a nie śpię i nie położę się spać; sen odbiegł ode mnie gdzieś za dziesiątą granicę; zmysły moje są tak rozbudzone, że nie czuję najmniejszego znużenia i zamierzam pisać do rana. Wysilam się tylko na to, by nie rozpocząć od końca i zanotować wszystko po porządku. Pomaga mi w tem bardzo przyzwyczajenie.

Ciotka wysłała powóz po Sniatyńskich i po Klarę bardzo rano, tak, że już przed południem byli w Płoszowie. Te panie przyjechały świeże, wesołe i rozszczebiotane, jak wróble, tak je cieszyła pogoda i ta wycieczka. Co za tualety! co za fantazyjne kapelusze! Klara doskonale była ubrana w jakąś paskowatą, jasną suknię, gdyż

wyglądała w niej nie taka ogromna, jak zwykle. Spostrzegłem, że Anielka, od pierwszej chwili przywitania, przypatrywała się jej badawczo, i że była jakby zdziwiona jej pięknością, o której prawie nie wspominałem w naszych rozmowach o Klarze. Nie uczyniłem tego z żadnego wyrachowania, ale poprostu umysł mój tak jest przesłoniony przez Anielkę, że wiele rzeczy nie przychodzi mi na myśl, wielu nie widzę. Oto naprzykład, pomimo dwukrotnej bytności u Śniatyńskich, teraz dopiero, w Płoszowie, zauważyłem, że pani Śniatyńska ma krótko obcięte włosy, z czem jej zresztą bardzo do twarzy. Ta jasna, opadająca na czoło czupryna daje jej minę równie rezolutnego, jak różowego chłopca. Żyjemy z sobą teraz w wielkiej przyjaźni. W swoim czasie byłaby mnie w łyżce wody utopiła za Anielkę. Widocznie jednak musiał jej mąż później powiedzieć, ilem przecierpiał, że zaś kobiety mają wogóle największą słabość do ludzi, którzy cierpieli z miłości, więc przebaczyła mi wszystkie winy i darzy mnie swą łaską. Obecność tak miłej a żywej i swobodnej kobiety bardzo przydała się do złamania pierwszych lodów między Anielką a Klarą — zauważyłem bowiem, że ciotka, która poczuwała się do wdzięcz-

ności względem Klary, przyjęła ją nadzwyczaj serdecznie, Anielka natomiast, mimo całej uprzejmości i wrodzonej słodyczy, była jakby onieśmielona i trochę sztywna. Dopiero przy śniadaniu, wśród ogólnej wesołej rozmowy, nastąpiło między temi paniami pewne zbliżenie. Klarę uderzyła niezmiernie piękność Anielki, że zaś jest pełna prostoty i przywykła do wypowiadania swych myśli z całą swobodą artystyczną, wypowiadała Anielce w oczy swe zachwyty, ale z takim wdziękiem i z takim szczerym zapałem, że Anielkę musiało to ująć. Obecna przy śniadaniu pani Celina rosła jak na drożdżach, i jakkolwiek zapewne po raz pierwszy w życiu znalazła się w towarzystwie kobiety ze świata artystycznego, poczęła spoglądać na Klarę coraz milej.

Nakoniec, zwróciwszy się do niej, oświadczyła, że chociaż jest matką Anielki, musi jednak przyznać, że Anielka była zawsze bardzo niebrzydkiem dzieckiem, i że można się było po niej jeszcze więcej spodziewać. Oboje Sniatyńscy wmieszali się także do rozmowy. On wszczął zaraz spór z Klarą o rozmaite typy kobiece, przyczem rozprawiał o typie Anielki i jego estetycznej doskonałości w sposób tak

zabawnie objektywny, jakby Anielka była portretem, wiszącym na ścianie, nie zaś żywą i obecną osobą. Ona, słuchając tego, czerwieniła się i spuszczała swoje cieniste rzęsy, zupełnie jak mała dziewczynka, przez co stawała się istotnie jeszcze śliczniejsza, niż zwykle.

Ja milczałem, alem porównywał w duchu te trzy twarze kobiece, starając się patrzeć na nie także objektywnie, to jest usuwając na bok wzgląd, że Anielka jest kobietą przeze mnie kochaną, a więc tem samem najbardziej wyróżnioną i pociągającą. Lecz porównanie nawet w tych warunkach wypadło na jej korzyść. Pani Sniatyńska, teraz zwłaszcza, gdy nosi włosy obcięte, jest to bardzo wdzięczna głowa, ale każdy «keepsake» angielski zawiera mniej więcej podobne; na piękność Klary składają się pogodne rysy, głównie zaś błękitne oczy i przezroczysta cera, jaką powszechnie miewają Niemki; gdyby jednak nie jej powołanie, które sprawia, że patrząc na nią, myśli się zarazem o muzyce, twarz uchodziłaby, co najwyżej, za hożą. Anielka nietylko ma regularne rysy, nietylko jest pomysłem artystycznym w stylu niezmiernie szlachetnym, ale ma w sobie coś tak indywidualnego, że nie może być podciągnięta pod żaden

ogólny wzór. Może ten indywidualizm polega na tem, że ona, nie będąc ani brunetką, ani blondynką, robi fizyczne wrażenie brunetki, a duchowe blondynki; może sprawia to wyjątkowa bujność jej włosów, przy stosunkowo drobnej twarzy, dość, że jest ona unikatem w swoim rodzaju. Przewyższa nawet pod tym względem Davisową, która była piękna bez zarzutu, ale pięknością posągów. Davisowa budziła we mnie tylko podziw i zmysły, Anielka budzi we mnie prócz tego idealistę, który się zachwyca poezyą jej wyrazu, i to poezyą nową, dotąd nieznaną.

Ale nie chcę nawet porównywać dwóch tak różnych istot. Oddalem się podczas śniadania tym rozmyślaniom dlatego, że się o podobnych rzeczach zgadało, i że analiza piękności Anielki sprawia mi zawsze wielką przyjemność. Ciotka przerwała tę rozprawę, sądząc, że jako gościnnej gospodyni, wypada jej pomówić z Klarą o ostatnim koncercie. Mówiła wiele i dobrze; nie przypuszczałem nawet, że posiada tyle znajomości muzyki; wypowiadała przytem swe komplementa z taką uprzejmością wielkiej damy, w sposób tak potoczysty i miły, jak umieją je wypowiadać tylko ludzie starszego pokolenia,

którzy przejęli jeszcze nieco ducha ośmnastego wieku. Jednem słowem, ze zdziwieniem spostrzegłem, że moja weredyczna ciotka potrafi, gdy chce, przypomnieć sobie czasy peruk i muszek. Klara, którą to ujmowało, nie pozostała jej dłużną w uprzejmościach.

— W Warszawie — rzekła — będę zawsze dobrze grała, bo publiczność mnie rozumie, ale najlepiej grywam w małych kółkach znajomych, gdzie mi są wszyscy sympatyczni — i jeśli państwo pozwolicie, to was przekonam o tem zaraz po śniadaniu.

Ciotka, której bardzo chodziło o to, by pani Celina i Anielka słyszały Klarę, ale która nie była pewna, czy wypada sadzać ją u siebie do fortepianu, wpadła w doskonały humor. Ja począłem opowiadać o wystąpieniach Klary w Paryżu i jej tryumfach w sali Erarda, Śniatyński zdawał sprawę z tego, co mówią w Warszawie, i w ten sposób zeszedł nam czas aż do końca śniadania. Gdyśmy wstali, Klara sama chwyciła za poręcz fotelu, w którym siedziała pani Celina, aby przetoczyć ją do salonu, i nie pozwoliła się nikomu wyręczyć, śmiejąc się i mówiąc, że pewno jest najmocniejsza w całem towarzystwie i nie boi się zmęczyć rąk. W chwilę

potem siedziała przy fortepianie, i tym razem widocznie Mozart odpowiadał najbardziej jej usposobieniu, bo usłyszeliśmy «Don Juana». Zaledwie ozwały się pierwsze dźwięki, już była to inna Klara: nie owo hoże i wesołe dziecko, z którem rozmawialiśmy podczas śniadania, ale jakby uosobiona święta Cecylia. Wytwarzało się powinowactwo między jej zewnętrzną postacią a muzyką; spływała na nią jakaś duchowa powaga i harmonia, które czyniły ją wyższą od zwykłych kobiet. Zrobiłem przytem jedno spostrzeżenie, mianowicie, że zakochane serce mężczyzny umie podsycać swoje uczucie nawet tem, co wypada na niekorzyść kobiety kochanej. Gdym pomyślał, jak daleko mojej Anielce do tego, by mogła być podobną Sybillą, gdym ją ujrzał siedzącą w kącie salonu, cichą, malutką, niejako przytłumioną, uczułem, że ją kocham tem więcej, i że mi jest tem droższa. Przyszło mi także do głowy, że kobieta nie jest w rzeczywistości taką, jaką się ogółowi ludzi przedstawia, ale taką, jaką ją widzi zakochany w niej mężczyzna, że zatem bezwzględna jej doskonałość jest w stosunku prostym do siły miłości, jaką potrafiła wzbudzić. Nie miałem czasu zastanawiać się nad tym pomysłem, ale

przypadł mi on bardzo do smaku, bom jak przez mgłę ujrzał i ten wniosek, że w imię owej doskonałości kobieta winna zgodzić się na przynależność do serca, które najbardziej ją kocha.

Klara grała cudownie. Szukałem wrażeń na twarzach innych, niebawem jednak spostrzegłem, że Anielka szuka ich na mojej. Była li to prosta ciekawość, czy też mimowiedny niepokój serca, które nie umiałoby powiedzieć, czego się obawia, a jednak się obawia? Powiedziałem sobie, że gdyby to ostatnie przypuszczenie było prawdziwe, stanowiłoby nowy dowód, że ona mnie kocha. Myśl ta przejęła mnie radością, i postanowiłem znaleźć w pozostającym ciągu dnia odpowiedź na owo pytanie.

Od tej chwili nie odstępowałem Klary. Mówiłem z nią więcej i byłem dla niej serdeczniejszy, niż kiedykolwiek w życiu. W lesie, do którego pojechaliśmy wszyscy razem, chodziłem z nią ciągle, spoglądając tylko od czasu do czasu na Anielkę, idącą opodal ze Śniatyńskimi. Klara zachwycała się lasem, który istotnie był bardzo piękny, z powodu obfitości drzew liściastych, tworzących pod ciemnem sklepieniem sosen drugie, nierównie weselsze sklepienie.

Słońce wnikało obficie do wnętrza lasu przez

szczeliny między liśćmi, kładąc na paprocie, rosnące na podłożu, jakby haft złoty i drgający. Naokół rozlegały się, jak zwyczajnie wiosną, głosy kukułek; tu i owdzie dzięcioł kuł w drzewo.

Gdyśmy połączyli się ze Śniatyńskimi i z Anielką, prosiłem Klary, by za powrotem do domu przetłómaczyła nam na język muzyki ten las, słońce, szum drzew i całą tę wiosnę. Powiedziała mi, że już jej się w duszy śpiewa jakiś «Frühlingslied» i że popróbuje go wygrać. Rzeczywiście widać było po jej wyrazie, że w niej coś śpiewa — bo zresztą ona jest jak wielka harfa, która wypowiada się tylko dźwiękami.

Twarz miała rozjaśnioną i palające rumieńce; natomiast Anielka wyglądała jakby zgaszona, choć czyniła widocznie wszystko, żeby się przezwyciężyć i dotrzymać towarzystwa Śniatyńskim, którzy rozswawolili się zupełnie, jak żaki szkolne. W końcu poczęli się oboje gonić po lesie; Klara wzięła w tem także udział, czego nie powinna była robić, ruchy jej bowiem, przy ogromnej jej postaci, nie mogły być zgrabne; zwłaszcza kołysanie się jej szerokich bioder wydało mi się wprost komiczne.

W chwili, gdy tamci upędzali się za sobą, zostałem z Anielką sam na sam. Wedle mojej

taktyki, trzeba mi było doprowadzić jej niepokój do świadomości, więc rzekłem:

— Tobie coś dzisiaj jest, Anielko, nie prawdaż?

— Mnie? Nic a nic!

— Bo chwilami mam takie wrażenie, jakbyś była z czegoś niezadowolona. Czy może nie podoba ci się Klara?

— Ona mi się bardzo podoba i wcale się nie dziwię, że się nią tak ludzie zachwycają.

Dalszą rozmowę przerwało nam zbliżenie się Klary i Śniatyńskich. Czas był wracać do domu. Po drodze spytał Śniatyński Klarę, czy rzeczywiście jest zadowolona, jak mówi, ze swej wycieczki do Warszawy.

— Najlepszy dowód, że nie myślę o odjeździe — odpowiedziała wesoło.

— Postaramy się, — wtrąciłem — by pani na zawsze z nami została.

Klara, mimo całej prostoty, z jaką zwykle przyjmuje to, co się do niej mówi, spojrzała tym razem na mnie pytającym wzrokiem, poczem zmieszała się nieco i odrzekła:

— Wszyscy tu dla mnie tak dobrzy!...

Ja wiedziałem, że moje słowa są poniekąd szelmostwem, mogą bowiem wprowadzić w błąd Klarę, ale chodziło mi przedewszystkiem o wra-

żenie, jakie one wywrą na Anielce. Na nieszczęście, nie mogłem nic widzieć; Anielka w tej właśnie chwili poczęła zapinać rękawiczkę i spuściła głowę tak nizko, że kapelusz zasłonił mi zupełnie jej twarz. Nagły ten ruch wydał mi się jednak dobrą wróżbą.

Wróciliśmy do domu. Starsze panie czekały nas z obiadem, który przeciągnął się do dziewiątej w wieczór. Potem Klara improwizowała przy fortepianie swój «Frühlingslied». Zapewne Płoszów, od czasu jak istnieje, nie słyszał takiej muzyki, ale tym razem mało na nią zważałem, gdyż myśli moje zbyt były napełnione Anielką. Zająłem blizko niej miejsce, i siedzieliśmy w półmroku, albowiem Klara nie pozwoliła wnieść lamp do salonu. Śniatyński wymachiwał ręką, jak batutą, żona jego, której widocznie to zawadzało, pociągała go od czasu do czasu za rękaw, Anielka zaś siedziała nieruchomie. Być może, iż pogrążona we własnych myślach, nie słyszała również, jak i ja, tej Pieśni wiosennej. Byłem prawie pewien, że w tej chwili myśli o mnie i o Klarze, a zwłaszcza, że zastanawia się nad znaczeniem słów, jakie powiedziałem do Klary. Łatwo mi było zgadnąć, że choćby mnie nie kochała, choćby nie miała cienia świado-

mości, że moje uczucie dla niej jest czemś więcej niż przywiązaniem braterskiem, to i tak, podejrzewając teraz, że inna może jej je zabrać, doznaje uczucia żalu, osamotnienia i goryczy. Kobieta, która nie jest w małżeństwie szczęśliwa, obwija się koło każdego uczucia, chociażby koło uczucia przyjaźni, jak bluszcz koło drzewa, i boi się utracić tej podpory. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że gdybym w tej chwili klęknął przed nią i wyznał, że ją jedną kocham, to mimo całego przerażenia, jakiemby ją napełniło wyznanie, ogarnęłaby ją zarazem i taka radość, jakiej doznaje się z odzyskania rzeczy drogiej. A jeśli tak, — pomyślałem w duchu — to czy nie należy przyśpieszyć wyznania, byle tylko wynaleźć sposób, któryby ją jak najmniej przeraził, a jak najwięcej uradował?

I zaraz zacząłem rozmyślać o tym sposobie, od którego mogło wszystko zależeć. Rozumiałem, że to trzeba uczynić tak, by zarazem rozbroić Anielkę i odjąć jej możność odepchnięcia mnie raz na zawsze. Umysł mój pracował ciężko w tej chwili, gdyż zadanie nie było łatwe. Stopniowo ogarniało mnie coraz większe wzruszenie, i dziwna rzecz: byłem wzruszony więcej za

Anielkę, niż za siebie, zdawałem sobie bowiem sprawę, że to będzie ogromny przełom w jej życiu — i bałem się o nią.

Tymczasem w salonie zrobiło się widniej; księżyc wydostał się nad drzewa parku i rzucił na podłogę cztery jasne odbicia okien. Nuty Pieśni wiosennej napełniały ciągle salon. Słowik odpowiadał Klarze z gęstwiny przez otwarte drzwi szklane. Był to niezwykły wieczór, na który złożyły się: ciepła majowa noc, muzyka i miłość. Pomyślałem mimowoli, że jeśli życie nie daje szczęścia, to często daje przynajmniej gotowe na nie ramy.

W tym świetlistym mroku począłem szukać oczyma wzroku Anielki, ale ona patrzyła wciąż na Klarę, która w tej chwili robiła istotnie wrażenie zjawiska. Światło księżyca, wnikając coraz dalej w głąb salonu, oświeciło wreszcie ją i fortepian, że zaś przybrana była w jasną suknię, więc wyglądała teraz jak jakiś srebrny duch muzyki.

Wizya jednak nie trwała już długo. Klara skończyła swoją Pieśń wiosenną, poczem zaraz pani Śniatyńska, której pilno było do domu, dała hasło do odwrotu. Ponieważ wieczór był dziwnie ciepły, zaproponowałem, byśmy poszli

piechotą aż do szosy, odległej o pół wiorsty od naszego domu. Uczyniłem to dlatego, by odwrotną drogę odbyć z Anielką sam na sam. Jej nie wypadało wymawiać się od odprowadzenia tych pań, wiedziałem zaś że ciotka nie pójdzie z nami, więc wyrachowanie nie mogło mnie zawieść.

Wydałem polecenie, by powóz czekał na szosie, my zaś, wkrótce potem wyruszyliśmy aleją lipową, prowadzącą od pałacu do publicznego gościńca. Podałem rękę Klarze, ale szliśmy wszyscy jedną gromadką, odprowadzani przez rzechotanie żab w płoszowskich stawach.

Klara przystanęła nieco i poczęła wsłuchiwać się w owe chóry, które chwilami uciszały się, chwilami odzywały jeszcze rozgłośniej, wreszcie rzekła:

— Finał mojej Pieśni wiosennej.

— Co za pyszna noc! — ozwał się Śniatyński.

I zaraz począł deklamować śliczny ustęp z «Kupca weneckiego»:

». . . . . Jak cicho
»Śpi na pagórku tam światło miesiąca!
»Spocznijmy trochę, i niech dźwięk muzyki
»Płynie nam w ucho: noc i nocna cisza
»Godzą się z słodkim urokiem harmonii...

Dalej nie mógł sobie przypomnieć, lecz ja pamiętałem, więc kończyłem za niego:

»Usiądź, o miła! patrz jak przestwór nieba
»Gęsto w złociste gwiazdki jest utkany,
»A każdy krążek z tych, które tam widzisz,
»Bieg odbywając, dołącza pieśń swoją
»Do jasnookich chóru cherubinów.
»Tak są harmonii pełne czyste duchy;
»Tylko my, których duch jest spowinięty
»W skorupę prochu, słyszeć jej nie możem«.

I następnie powtórzyłem Klarze, która nie rozumiała po polsku, cały ustęp we francuskim, zaimprowizowanym naprędce przekładzie. Ona, słuchając, mimowoli podniosła oczy ku górze, wreszcie rzekła, ukazując na gwiazdy:

— Byłam zawsze pewna, że to wszystko gra.

Okazało się, że i pani Śniatyńska była również tego pewna; twierdziła nawet, że nieraz o tem rozmawiała z mężem, który jednakże nie mógł sobie absolutnie tego przypomnieć. Powstała stąd sprzeczka małżeńska, z której uśmialiśmy się oboje z Klarą. Anielka przez cały czas nie mieszała się prawie wcale do rozmowy. Przechodziło mi przez myśl, że może to drogie stworzenie dąsa się na mnie za to, że prowadzę pod rękę Klarę i że się nią głównie zajmuję. Samo podobne przypuszczenie napeł-

niało mnie szczęściem. Starałem się wszelako nie stracić zupełnie głowy i mówiłem do siebie w duchu: «Nie pochlebiaj sobie, aby ona wiedziała, iż doznaje uczucia zazdrości: czuje tylko smutek, może trochę urazy — i oto wszystko». Oddałbym był w tej chwili cały zastęp takich artystek, jak Klara, byle módz Anielce powiedzieć, że wszystko, co jest we mnie, należy do niej. Tymczasem Śniatyński począł coś mówić o astronomii, czego słuchałem piąte przez dziesiąte, chociaż nie umiem nawet wypowiedzieć, jak dalece zajmuje mnie ta nauka, która z natury rzeczy nie może ani sobie, ani duchowi ludzkiemu, stawić granic ciaśniejszych od nieskończoności.

Doszliśmy wreszcie do bitej drogi, gdzie Śniatyńscy z Klarą siedli do powozu. Po chwili koła zaturkotały; do uszu naszych doszły ostatnie: «do widzenia!» — i zostaliśmy z Anielką sam na sam.

Zwróciliśmy się zaraz ku domowi i długi czas szliśmy w milczeniu. Rzechotanie żab już ucichło, tylko zdala od zabudowań folwarcznych dolatywały gwizdania stróżów nocnych i szczekanie psów. Nie mówiłem umyślnie do Anielki, bo owe chwile milczenia są jakby dowodem, że się między nami coś dzieje, i podsuwają myśl

o tem Anielce. Wreszcie jednak w połowie drogi odezwałem się:

— Jak doskonale zeszedł dzień dzisiejszy nie prawda?

— Dawno już takiej muzyki nie słyszałam — odpowiedziała Anielka.

— A jednak byłaś jakby z czegoś nierada: tego mi nie wytłómaczysz. Ja tak uważam na to, co się z tobą dzieje, że widzę najmniejszy cień na twojej twarzy.

— Dziś musiałeś się zajmować gośćmi... Jesteś bardzo dobry, ale zaręczam ci, że mi nic nie jest.

— Dziś zajmowałem się, jak zawsze, tylko tobą, a na dowód tego, jeśli mi pozwolisz, to powiem ci, o czem myślałaś w ciągu dnia.

I nie czekając jej pozwolenia, mówiłem dalej:

— Myślałaś, że jestem podobny trochę do Łatyszów; myślałaś, żem cię zwiódł, mówiąc ci o pustce, jaka mnie otacza; myślałaś wreszcie, żem niepotrzebnie prosił cię o przyjaźń, bom ją sobie poprzednio znalazł gdzieindziej. Czy nie tak było? powiedz mi szczerze...

Anielka odpowiedziała z pewną trudnością:

— Skoro koniecznie chcesz, więc... być może... Ale to mnie mogło tylko cieszyć...

— Co cię mogło cieszyć?

— Wasza wzajemna przyjaźń z Klarą.

— Może być, że mam dla niej wiele życzliwości, ale zresztą Klara, jak wszystkie inne kobiety, jest mi obojętna. A wiesz dlaczego?

Tu począłem trochę drżeć, bom uznał, że chwila nadeszła; czas jakiś czekałem, by Anielka powtórzyła pytanie, następnie ozwałem się głosem, który usiłowałem uczynić bardzo spokojnym:

— Przecież ty musisz widzieć i rozumieć, że cała moja istota należy do ciebie, że ja ciebie jedną kochałem i kocham dziś jeszcze, jak szalony!

Anielka stanęła, jak wryta. Ja po zimnie w twarzy uczułem, że blednę, bo jeżeli pod tem biedactwem ziemia rozstępowała się w tej chwili, to przecie i o moją duszę chodziło. Ale wiedząc, z jaką kobietą mam do czynienia, musiałem się śpieszyć, by ją obezwładnić, nim przyjdzie do siebie i nim mnie odepchnie.

Więc począłem mówić prędko:

— Nie odpowiadaj mi, bo ja niczego nie chcę, niczego nie żądam — niczego, słyszysz? Chciałem ci tylko powiedzieć, żeś mi zabrała życie, i że ono jest twoje. Zresztą, tyś już sama do-

strzegła, że tak jest, więc wszystko jedno, czy o tem mówię, czy nie. Powtarzam ci raz jeszcze, że niczego nie pragnę, ani oczekuję. Ty nie możesz mnie odtrącić, bo ja się sam odtrącam... Wyznaję ci to tylko tak, jakbym wyznał przyjaciółce, albo siostrze. Przychodzę i skarżę się przed tobą, bo nie mam przed kim innym; przychodzę i powiadam, że mi jest bieda, bo kocham kobietę, która należy do innego, a kocham bez pamięci, moja Anielko, bez granic!

Byliśmy już przy bramie, ale jeszcze w głębokim mroku drzew. Przez chwilę miałem złudzenie, że ona pochyli się ku mnie, jak kwiat złamany, i że pochwycę ją w ramiona, alem się mylił. Anielka, ochłonąwszy z wrażenia, poczęła nagle powtarzać z jakąś nerwową energią, o którą jej nawet nie podejrzewałem:

— Ja nie chcę tego słuchać, Leonie! nie chcę, nie chcę, nie chcę!

I wbiegła na oświecony księżycem dziedziniec. Poprostu uciekła ode mnie, od moich słów i wyznań. Po chwili znikła w ganku, ja zaś pozostałem sam, z uczuciem niepokoju, strachu, wielkiej litości nad nią, ale zarazem i tryumfu, że te słowa, od których zacznie się dla nas obojga nowe życie, zostały już wymówione. Bo

naprawdę, na razie nie mogłem się niczego więcej spodziewać, a tymczasem ziarno, z którego coś musi wyrosnąć, było rzucone.

Wróciwszy do domu, nie znalazłem już Anielki. Zastałem tylko ciotkę, która, chodząc po pokoju, mruczała różaniec, rozmawiając z sobą głośno, w przerwach między pacierzami. Pożegnałem ją zaraz, by jak najprędzej znaleźć się u siebie. Myślałem, że spisywanie wrażeń dnia uspokoi mnie i przyprowadzi do ładu moje roztargane myśli. Ale zmęczyłem się tylko jeszcze bardziej. Postanawiam jutro (a raczej dziś, bo już biały dzień na dworze) wyjechać do Warszawy. Chcę, by Anielka mogła umocnić się w przekonaniu, że niczego nie żądam, a przedewszystkiem, by miała czas uspokoić się i oswoić z tem, co jej powiedziałem. Mówiąc jednak całą prawdę, postanawiam wyjechać i dlatego, że boję się jutrzejszego z nią spotkania — i pragnę je odwlec. Chwilami zdaje mi się, żem popełnił coś niesłychanego, wprowadzając pierwiastek mego własnego zepsucia w ten świat, dotąd tak czysty. Lecz właściwie, czy zło zasadnicze nie leży w tem, że ona została poślubiona człowiekowi, którego nie kocha i nie może kochać? Co jest niemoralniejsze: czy moja miłość, która jest

objawem wielkiego prawa natury, czy przynależność Anielki do tamtego człowieka, która jest bezecnem tegoż prawa podeptaniem? Najbardziej uprawniony związek staje się sromotnym, jeśli nie wspiera się na miłości. I ja, który to jasno rozumiem, jestem jednak tak słaby, że strach mnie chwyta, gdy mi przyjdzie potrącić nogą tę trupią moralność. Szczęściem, jest to chwilowy strach. Choćbym nawet nie był pewien, czy po mojej stronie jest słuszność, nie mam najmniejszej wątpliwości, że niema jej po przeciwnej. Zresztą tego rodzaju skrupuły rozprasza siłą faktyczną rzeczy jedno słowo: kocham!

A jeśli serce taje poprostu we mnie na myśl, że ona może także w tej chwili nie śpi, że może płacze i szarpie się z własnemi myślami — to tylko nowy dowód, że kocham. Wobec tego wszystko, co się dzieje i dziać będzie, jest koniecznością.

19 maja.

Pierwszy dzień po przyjeździe do Warszawy przespałem kamiennym snem. W Płoszowie żal mi każdej minuty dnia, którą mogę spędzić w towarzystwie Anielki, a nocami pisuję. Znużyło mnie to w końcu śmiertelnie. I teraz je-

stem jeszcze ociężały, ale przynajmniej mogę już myśleć. Trochę mi wstyd, żem uciekł z Ploszowa i zostawiłem Anielkę samą, pod ciężarem mego wyznania. Ale gdy się ma do czynienia z kobietą kochaną, trochę tchórzostwa nie przynosi ujmy. A i tak nie byłbym pewnie zmykał, gdyby mi nie nakazywało tego przyszłe dobro mojej miłości. Bo oto od kilku dni, Anielka, wstając rano, odmawiając pacierze, chodząc po parku, doglądając chorej matki, musi jednak, choćby nie chciała, powtarzać sobie: «On mnie kocha» — i z konieczności myśl ta wydaje się jej coraz mniej niesłychaną, coraz mniej straszną. Natura ludzka oswaja się ze wszystkiem, kobieta zaś prędko godzi się z myślą, że jest kochaną, zwłaszcza gdy sama kocha. To pytanie: czy ona mnie kocha? — zadałem sobie od pierwszej chwili, w której zeznałem sam przed sobą, że ja ją kocham; obracam je odtąd na wszystkie strony w mojej głowie, staram się rozważać wszystkie okoliczności, tak, jak gdyby nie o mnie chodziło — i dochodzę do przekonania, że tak jest. Wychodząc za mąż, kochała mnie, nie Kromickiego; zgodziła się na oddanie mu ręki tylko z rozpaczy. Gdyby jeszcze była wyszła za człowieka niepospolitego,

któryby ją pociągnął sławą albo ideją, gdyby jeszcze była trafiła na jakiś wyjątkowy charakter — możeby była o mnie zapomniała. Ale przecie Kromicki nie mógł jej pociągnąć swoją pieniężną newrozą. Prócz tego, odjechał ją wkrótce po ślubie; prócz tego, sprzedał ów Głuchów, który był celem życia tych dwóch kobiet. Sądząc Kromickiego najobjektywniej, jest to człowiek mały, i niema w nim nic takiego, czemby mógł zjednać sobie tę istotę, pełną idealnych uczuć i porywów. Tymczasem przyjechałem ja, dla którego miłość prawdopodobnie jeszcze w niej nie wygasła, i od samego przyjazdu brałem ją za serce i wspomnieniami i każdem słowem i każdem spojrzeniem; ciągnąłem ją ku sobie, nietylko z tą umiejętnością, jaką daje doświadczenie życiowe, ale przedewszystkiem z tą siłą magnetyczną, jaką mi dawała obecność i w mojem sercu prawdziwej miłości. Dodawszy do tego, że Anielka wiedziała przecie, ilem cierpiał z powodu jej postanowienia, w chwili, gdym wysyłał do niej Śniatyńskiego, że jej przecie musiało być żal mnie, że ta litość nie mogła dotąd zgasnąć — powiadam sobie: gram o życie, ale gram w takich warunkach, że tej gry nie mogę przegrać.

Jestem o tyle w mojem prawie, o ile w prawie jest każdy, kto broni swego życia. Powiadam to nie w żadnem uniesieniu, ale rozumując spokojnie. Ja nie mam nic, żadnych przekonań, żadnych wierzeń, żadnych zasad, żadnego gruntu pod nogami, bo te podstawy wyjadła we mnie refleksya i krytyka. Mam tylko wrodzone każdemu siły życiowe, które, nie mając się gdzie podziać, skupiły się w uczuciu dla tej kobiety. Więc chwytam za tę miłość, jak tonący chwyta za deskę. Jeżeli mi i tego zbraknie, przestanę chyba istnieć. Gdy mnie rozum pyta: dlaczego nie ożeniłem się poprostu z Anielką? — odpowiadam mu to, com już raz powiedział: nie ożeniłem się poprostu, bom nie prosty, ale krzywy. Takim wyniańczyły mnie moje dwie niańki: refleksya i krytyka. Dlaczego ta, a nie inna kobieta, stała się dla mnie deską ocalenia — nie wiem. Prawdopodobnie właśnie dlatego, że ta, a nie inna. To nie zależało ode mnie.

Gdyby ona dziś stała się wolną — pochwyciłbym ją dla siebie bez wahania — ale gdyby wcale nie była wyszła za mąż... kto wie... wstyd mi wypowiedzieć tę myśl, a jednak, być może, żebym jej mniej pożądał.

I byłoby tak nie przez żaden romantyzm, nie dlatego, bym miał uważać, że małżeństwo jest powszednią prozą życia. Śmieję się z takich przestarzałych poglądów. Wspierając się wszelako na faktach spełnionych, przypuszczam, że począłbym kontrolować do nieskończoności siebie i Anielkę — pókiby mi jej ktoś nie zabrał.

Wolę o tem nie myśleć, bo mi się chce kląć.

20 maja.

Zastanawiałem się dzisiaj nad tem, co będzie, gdy uzyskam wzajemność Anielki, a raczej wyznanie z jej strony? Widzę przed sobą szczęście, ale nie widzę możliwego czynu. Zdaje mi się, że gdybym wymówił w Płoszowie, wobec tych kobiet, słowo: rozwód, toby się dom zapadł pod ziemię. Nie może być o tem nawet mowy, bo wyobrażenia ciotki i pani Celiny są tego rodzaju, że żadna z nich nie potrafiłaby przeżyć podobnego ciosu. Nie łudzę się i co do Anielki. Pojęcia jej są takie same, jak starszych pań. A jednak z chwilą, gdy wyzna, że mnie kocha — wymówię ten wyraz, i ona musi się oswoić z myślą rozwodu. Niema innego wyjścia, na to zaś jedyne trzeba będzie czekać aż do śmierci

ciotki i pani Celiny. Po za tem nic nie pozostaje do zrobienia. Kromicki albo się na to zgodzi dobrowolnie, albo nie. W tym ostatnim razie zabiorę Anielkę i wywiozę ją choćby do Indyi; rozwód zaś, czy też unieważnienie małżeństwa, będę przeprowadzał wbrew jego woli. Na szczęście, nie brak mi środków. Co do mnie, jestem gotów na wszystko, i to wewnętrzne głębokie przekonanie usprawiedliwia mnie zupełnie w moich oczach. Tym razem nie jest to pospolity romans, ale uczucie, w którem się ześrodkowywa cała istność. Jego szczerość i siła uprawniają również moje postępowanie z Anielką. Ja wiem, że zwodzę ją, wmawiając, że mi tylko chodzi o jej siostrzane uczucia; zwodzę, zapewniając, że niczego nie żądam — ale to wszystko byłoby złem kłamstwem tylko w takim razie, gdyby kłamstwem była sama miłość. Wobec jej prawdy, jest to tylko taktyka, tylko dyplomacya uczucia. To należy do procesu miłości. Jest rzeczą pewną, że nawet narzeczeni mają swoje podstępy, za pomocą których wydobywają z siebie wyznania. Co do mnie, jestem szczery nawet wówczas, gdy zmyślam.

21 maja.

Powiedziałem Anielce, że chcę się czemś zająć — i chcę rzeczywiście, choćby dlatego, żem jej to mówił. Postanawiam przedewszystkiem sprowadzić zbiory ojca do Warszawy — i założę tu muzeum Ploszowskich. Będzie to zasługa Anielki — i pierwszy pożyteczny czyn, jaki wypłynie z naszej miłości. Przewiduję, że rząd włoski będzie mi stawiał przeszkody, istnieje tam bowiem jakieś prawo, zabraniające wywożenia dawnych zabytków i cennych dzieł sztuki. Ale to rzecz mego adwokata. Ach! przypominam sobie, że i owa Madonna Sassoferrata, którą ojciec przeznaczył dla przyszłej synowej, znajduje się w moim zbiorze. Każę ją wysłać zaraz, bo mi się tu przyda.

22 maja.

Jaka natura ludzka jest złośliwa! Ten Kromicki, przewracający gdzieś tam na dalekich stepach koziołki dla zyskania milionów, podczas gdy tu szepczą słowa miłości do ucha jego żonie — wydaje mi się, bądź co bądź, śmieszny; napełnia mnie to zadowoleniem, że ta myśl musi przyjść do głowy i Anielce, a jeśli nie przyjdzie, to ja

jestem od tego, aby ją wyluszczyć ze wszystkich obsłon. Cały Kromicki maluje się wybornie w tem, że, sprzedawszy Głuchów, zostawił te kobiety bez własnego dachu nad głową... Myślał zapewne, że zamieszkają w Odesie lub Kijowie; tymczasem choroba pani Celiny sprowadziła Anielkę do Płoszowa.

Lecz on przecie wiedział, jak dalece wątłe jest zdrowie pani Celiny, powinien był przewidzieć, że ona może ciężko zachorować, i wówczas Anielka pozostanie sama z brzemieniem zmartwień i kłopotów. Być może, iż jego sprawy wymagają niezbędnie jego obecności na dalekim Wschodzie — ale w takim razie czemu się żenił?

Jutro wracam do Płoszowa. Zbyt tu tęsknię — i przytem chce mi się już spojrzeć w oczy Anielce, bo czasem mam takie uczucie, jakbym się wymykał przed odpowiedzialnością. Trzeba było wyjechać po wyznaniu — ale teraz trzeba wrócić. Kto wie, może moje szczęście jest większe, niż przypuszczam? może i ona tęskni do mnie?...

Byłem dziś u Śniatyńskich, u Klary, której nie zastałem, i u słynnej tu piękności, pani Koryckiej. Ta ostatnia nosi historyczne nazwisko,

jak dżokejską czapkę, a dowcip, jak szpicrutę, którą przecina twarze. Wyszedłem jednak bez pręgi — owszem, byłem nawet nieco kokietowany. Następnie odbyłem kilkanaście wizyt za pomocą biletów. Pragnę, by ludzie myśleli, że stale mieszkam w Warszawie.

Ponieważ sprowadzenie zbiorów ojcowskich mi nie wystarcza, jest to bowiem kwestya mojej woli i mego worka, nie zaś pracy, zastanawiałem się więc nad tem, co mógłbym robić prócz tego. Ludzie mego położenia poprzestają u nas ogólnie na administrowaniu swą fortuną, co, mówiąc nawiasem, robią, z nielicznymi wyjątkami, źle, daleko gorzej ode mnie. Zaledwie kilku z pomiędzy nas odgrywa jakąś rolę w życiu publicznem. Powiedziałem już wyżej, że tu się ludzie bawią jeszcze w arystokracyę i demokracyę, są więc między nami tacy, którzy, jako cel życia, postawili sobie walkę z prądami demokratycznymi i obronę hierarchii społecznej. Co do mnie, uważam to za sport taki dobry, jak każdy inny, ponieważ jednak nie jestem sportsmenem, zatem nie mogę należeć do zabawy. Gdyby nawet nie była to zabawa, gdyby kryl się w tem jakiś sens praktyczny, jestem nadto sceptykiem względem obu obozów, bym potrafił do którego

przystać. Demokracyi nerwowo nie znoszę — to jest, nie ludzi gminnego pochodzenia, ale takich, którzy uważają się za patentowanych demokratów. O arystokracyi myślę, iż jeśli istotnie racyę jej bytu stanowią historyczne zasługi przodków, to większość tych zasług jest u nas tego rodzaju, że spadkobiercy ich powinni włożyć włosiennice i posypać sobie głowy popiołem. Zresztą, naprawdę, to te obozy same w siebie nie wierzą, z wyjątkiem może kilku indywiduów, nader głupich. Inni udają szczerość w celach osobistych, że zaś ja nigdy nic nie udaję, więc udział w podobnej walce, to robota nie dla mnie.

Istnieją także syntetyści w rodzaju Śniatyńskiego, którzy stoją ponad obydwoma obozami, gotowi zaś są oba stopić w swojej syntezie. Są to wogóle tędzy ludzie, ale choćbym się na ich sposób widzenia rzeczy nawrócił, to jeszcze musiałbym coś obok tego robić, bo samo uczucie nie jest pracą — i trzeba je jakoś uzewnętrznić. Śniatyński pisze przecie dramata... Naprawdę, przypatrując się rzeczom i położeniu bliżej, to ja jestem jakoś za nawiasem i nie wiem, jak dostać się w nawias. Jest to, bądź co bądź, dziwne, żeby człowiek, który ma znaczne środki,

wykształcenie, pewne zdolności i wolę, nie miał o co rąk zaczepić. Znów mi się chce kląć, bo widzę jasno, że i tego powodem jest moje przerafinowanie umysłowe. Na mnie powinni robić dyagnozę choroby starczej wieku i cywilizacyi, bo przybrała ona we mnie typowy charakter. Kto jest sceptykiem względem wiary, sceptykiem względem wiedzy, konserwatyzmu, postępu etc., temu istotnie trudno coś robić.

A w dodatku jeszcze aspiracye moje są nierównie większe, niż możność ich zaspokojenia. Wszędzie życie wspiera się na pracy, pracują więc ludzie i tu; temu trudno zaprzeczyć. Jest to jednak praca fornalskich koni, zwożących z wysileniem snopki do stodoły. Ja choćbym chciał, tego nie potrafię. Ja, jestem paradyer — mógłbym ciągnąć jakąś karetę, ale zwykły wóz, po piaszczystej drodze, lada szkapa pociągnie równiej i spokojniej ode mnie. Przy budowie domu nie potrafiłbym żadną miarą nosić cegły; przydałbym się może do ornamentyki; na nieszczęście, tam, gdzie chodzi o prostą budowę i zwykły dach nad głową, takich majstrów nie potrzeba.

Gdybym zresztą czuł w sobie popęd wewnętrzny do pracy, lub pragnął coś robić z mocy do-

gmatów Śniatyńskiego — być może, iż zdołałbym się zmusić do prostej roboty. Ale w gruncie rzeczy mnie chodzi o pozory. Chcę pracować dlatego, że to ujmie dla mnie kobietę kochaną. Anielka jest pod tym względem bardzo egzaltowana, i ujęłoby to ją z pewnością. Ale właśnie dlatego, zarówno miłość własna, jak i wyrachowanie nakazują mi zająć stanowisko wybitne, któreby mnie mogło podnieść w jej oczach. Zobaczę, potrzeba mi jeszcze się rozpatrzyć. Tymczasem niech pracuje mój worek. Sprowadzę zbiory ojcowskie, będę wspierał rozmaite instytucye i dawał pieniędzy, gdzie wypadnie.

Co za dziwny wpływ jest takiej kobiety, jak Anielka! Oto styka się z nią prawdziwy «geniusz bez teki», tak wyjątkowy nieużytek, jak ja — i zaledwie się zetknął, bez jakiegokolwiek apostołowania z jej strony, już poczuwa się do różnych rzeczy i obowiązków, do których się dawniej nie poczuwał. Niech mnie dyabeł porwie, jeśliby mi choć przez głowę przeszło ujmować sobie Paryżankę lub Wiedenkę przez sprowadzanie zbiorów moich do Paryża lub Wiednia!

Wracam już do Płoszowa, bo mi pilno do mego dobrego ducha.

23 maja.

Oddaliłem się na pewien czas z Płoszowa jeszcze i dlatego, by zostawić Anielce czas do jakiegokolwiek postanowienia. W Warszawie i w czasie powrotnej drogi do Płoszowa, starałem się odgadnąć, co mianowicie postanowi. Wiedziałem, że nie mogła wprost napisać do męża: «Przyjeżdżaj i zabieraj mnie, bo Płoszowski napastuje mnie swoją miłością». Nie uczyniłaby tego nawet, gdyby mnie nienawidziła. Natura jej zbyt jest na to delikatna. Pominąwszy, że wynikłoby z tego koniecznie jakieś zajście między mną a Kromickim, Anielka musiałaby porzucić chorą matkę, albowiem zdrowie pani Celiny nie pozwala jej na opuszczenie Płoszowa.

Położenie Anielki jest istotnie trudne, i ja wziąłem to w rachubę przedtem, nim uczyniłem jej wyznanie. Ale wracając tu, zląkłem się, czy jej nie przyjdzie do głowy zamknąć się w pokoju matki i unikać mnie, ile możności. Po chwili jednak uspokoiłem się. Na wsi i pod jednym dachem jest to zupełnie niemożliwe, a w ka-

ždym razie stałoby się nadto widoczne i zwróciłoby uwagę ciotki i pani Celiny, następnie zrodziłoby jakieś podejrzenia i mogłoby źle wpłynąć na zdrowie tej ostatniej.

Prawdę mówiąc, wyzyskuję położenie bez skrupułu, ale kto go nie wyzyskuje, gdy kocha? Odgadywałem, że Anielka, choćby najmocniej była mi wzajemną, nie zechce jednak pozwolić, bym w przyszłości powtarzał jej wyznania, że będzie się opierała nawet daleko silniej, niż opierają się zwykle kobiety zamężne, bo wobec jej zasad, wobec jej skromności, każde najmniejsze ustępstwo będzie się jej wydawało niesłychaną zbrodnią. Lecz jakimże sposobem mogła mi zabronić, bym jej nie mówił o swojej miłości? Jeden miała tylko środek: uzyskać moją dobrowolną na to zgodę; przypuszczałem, że zechce rozmówić się ze mną stanowczo — i nie myliłem się.

Przybywszy do Płoszowa, znalazłem ją mizerną, ale spoglądała na mnie dość raźnie. Widocznie, miało kochane biedactwo gotowe w zapasie argumenty i wierzyło w ich siłę; wierzyło, że gdy je wypowie, nie pozostanie mi nic innego, tylko położyć uszy po sobie i umilknąć raz na zawsze. Anielskie złudzenie, że prawda może

być tylko jedna na świecie! Nie wdawaj się ze mną nigdy, moja Anielko, w żadne rozumowania, bo ja, jeśli wierzę w jaką prawdę i w jakie argumenty, to chyba w prawdę i prawa miłości, a przytem dość jestem przebiegły, by każdy twój argument przewrócić, jak rękawiczkę, i uczynić z niego broń przeciw tobie. Nie ocalą cię ani twoje rozumowania, ani moja dla ciebie litość, bo im się okażesz bielszą, doskonalszą, im bardziej mnie wzruszysz, tem cię będę kochał więcej, a im bardziej cię pokocham, tem będziesz mi pożądańszą. Mam dla ciebie tylko krokodyle łzy, które płynąc, zaostrzają zarazem moją drapieżność. To jest błędne koło miłości.

Na sam widok Anielki poczułem się w tem kole. Po południu, w dniu mego powrotu, gdy pani Celina usnęła głęboko na werendzie, Anielka dała mi znak, bym poszedł za nią w głąb ogrodu. Zmiarkowałem po jej twarzy, która uderzyła mnie swą niezwykłą powagą, że teraz właśnie chce się ze mną rozmówić, poszedłem więc za nią skwapliwie. W miarę, jak oddalaliśmy się od werendy, animusz Anielki począł jednak niknąć. Spostrzegłem, że przybladła, że widocznie przestrasza ją własna energia, ale że nie mogła

się już cofnąć, więc poczęła mówić niepewnym głosem:

— Żebyś ty wiedział, jaka ja byłam nieszczęśliwa przez te kilka dni...

— Czy myślisz, że i mnie lekko żyć? — odpowiedziałem.

— Nie, nie myślę — i dlatego mam do ciebie wielką prośbę... Wiem, że ty wszystko rozumiesz, że jesteś wspaniałomyślny i dobry — więc mi nie odmówisz; jestem tego pewna, bo cię znam.

— Powiedz mi, czego żądasz?

— Trzeba, Leonie, żebyś ty wyjechał za granicę i nie wracał, póki mama nie będzie w stanie opuścić Płoszowa.

Byłem pewny, że tego właśnie zażąda, przez chwilę jednak milczałem, jakbym szukał odpowiedzi.

— Możesz mną rozporządzać, jak zechcesz, — rzekłem — ale powiedz mi przynajmniej, czemu skazujesz mnie na wygnanie?

— Ja cię nie skazuję na wygnanie, ale ty wiesz dlaczego...

— Wiem — odpowiedziałem z nieudanym smutkiem i rezygnacyą: — dlatego, że oddałbym za ciebie ostatnią kroplę krwi; dlatego, że gdyby

piorun miał w tej chwili w jedno z nas uderzyć, to jabym ciebie osłonił, a swoją głowę nadstawił; że wziąłbym na siebie wszystko złe, jakie cię może spotkać; dlatego, że cię kocham nad życie — to istotnie są ciężkie grzechy...

— Nie, — przerwała, z wysiłkiem energii, Anielka — ale dlatego, że ja jestem żoną człowieka, którego kocham i szanuję — i że nie chcę słuchać takich słów!

Zniecierpliwienie i gniew wstrząsnęły mną nagle, jak iskra elektryczna. Wiedziałem, że Anielka nie mówi prawdy, że miłością i szacunkiem dla męża osłaniają się wszystkie kobiety zamężne, gdy zdarzy im się stanąć na rozdrożu życia — wszystkie, o zakład! — choćby ani cienia tych uczuć nie miały w sercu; a jednak słowa Anielki tak zgrzytnęły po moich nerwach, żem ledwie zdołał powstrzymać wykrzyk: «Kłamiesz, bo ani go kochasz, ani szanujesz!» Lecz jednocześnie przyszła mi myśl, że ta jej energia wkrótce się wyczerpie, więc odpowiedziałem niemal pokornie:

— Nie gniewaj się na mnie, Anielko — ja wyjadę!

I widziałem, że ją ta pokora moja rozbraja, że jej mnie żal. Nagle zerwała liść z nizkiej

gałęzi i poczęła go rozrywać nerwowo. Czyniła nadludzkie wysiłenia, żeby się nie rozpłakać, a miała pełne piersi łkań.

Ja byłem także poruszony do dna duszy i mówiłem dalej z pewną trudnością:

— Nie dziw się jednak, że się ociągam, bo to przecie okropna krzywda dla mnie. Ja ci już powiedziałem, że nie żądam niczego więcej, prócz tego, żebym mógł oddychać tem samem powietrzem i patrzeć na ciebie. Bóg widzi, że to chyba niezbyt wiele. I to jest całe moje dobro... A ty mi i to odejmujesz! Pomyśl tylko: każdy może tu przyjechać, rozmawiać z tobą, patrzeć na ciebie — tylko ja nie — i to dlatego, żeś mi droższa, niż innym. Co to za wyrafinowane okrucieństwo losu! Wejdźże na chwilę w moje położenie. Tobie to jest trudno, bo ty nie znasz tej pustki, ty kochasz męża, albo się łudzisz, że kochasz, a to prawie wszystko jedno — ale wyobraź sobie na minutę, że jesteś mną, a zobaczysz, że to jest gorsze od wyroku śmierci. Trzeba i nade mną mieć trochę litości. Czy ty wiesz o tem, że odpędzając mnie od siebie, pozbawiasz mnie nie tylko swego widoku, ale usuwasz mi jedyną podstawę życia. Mówiłem ci, żem wrócił do kraju z postanowieniem, by

dla niego pracować. Możebym w tem znalazł i zapomnienie i spokój, możebym tem odkupił moje winy dawniejsze; świeżo oto zamierzyłem sprowadzić zbiory ojcowskie — ty mi każesz teraz tego wszystkiego się wyrzec, wszystko porzucić i jechać przed siebie i rozpocząć znów to bezcelowe życie, bez jednego promienia słońca! Dobrze, wyjadę! Ale wyjadę, jeśli mi za trzy dni ten rozkaz powtórzysz, bo w tej chwili przypuszczam jeszcze, żeś ty nie wiedziała, czem on będzie dla mnie. Teraz już wiesz! Proszę cię o trzy dni — o nic więcej!

Anielka zakryła oczy dłonią i poczęła powtarzać:

— Ach! Boże! Boże! Boże!

Było w tem coś tak poruszającego, taka skarga dziecka na swoją bezradność, że i mnie pochwycił żal ogromny. Nastała chwila, że chciałem jej upaść do nóg i przystać na wszystko, czego żądała, lecz właśnie w tej skardze dojrzałem zapowiedź mego blizkiego zwycięstwa i pożałowałem jego owoców.

— Słuchaj mnie — rzekłem: — w jednym razie wyjechałbym natychmiast, dziś jeszcze! i przedzieliłbym się od ciebie morzami: oto, gdybym wiedział, że ci to nietylko dlatego potrzeb-

ne, żeby nie mącić sobie spokoju widokiem nieszczęśliwego człowieka, ale i dla twego własnego serca. Mówię do ciebie, jak przyjaciel i brat: wiem od ciotki, żeś mnie kochała; jeśli to uczucie żyje jeszcze w tobie — to mnie tu jutro nie będzie.

Zupełnie szczery ból dyktował mi te słowa, a jednak były one straszną zasadzką względem Anielki, bo mogły wyrwać z jej ust wyznanie; gdyby zaś to było się stało — nie wiem — możebym istotnie wyjechał, ale na razie byłbym, jak Bóg na niebie, pochwycił ją w objęcia. Lecz ona wzdrygnęła się tylko, jak gdybym dotknął nieostrożnie jej rany; twarz jej zapłonęła w jednej chwili rumieńcem gniewu i oburzenia.

— Nie! — zawołała z rozpaczliwem uniesieniem: — to nieprawda! nieprawda! Jedź sobie, czy zostań, ale to nieprawda! nieprawda!

Ja zaś z samego jej uniesienia poznałem, że to może być prawdą. Porwała mnie dzika ochota, żeby jej to powiedzieć z całą brutalnością, wprost w oczy, ale zdala ujrzałem zbliżającą się ku nam ciotkę. Anielka nie zdołała już opanować wzruszenia, tak, że ciotka, spojrzawszy na nią, spytała odrazu:

— Co tobie jest? O czem mówiliście z Leonem?

— Anielka — odrzekłem — opowiadała mi, jak źle wpłynęła na zdrowie jej matki sprzedaż Głuchowa — i nie dziwię się, że to ją wzruszyło...

Czy siły Anielki były już zupełnie wyczerpane, czy też to kłamstwo moje, do którego musiała się milczeniem przyłączyć, przepełniło i tak już pełny kielich goryczy, dość, że w tej chwili wybuchnęła niepowstrzymanym płaczem; łkania wstrząsały jej ciałem nakształt spazmów; ciotka pochwyciła ją w ramiona i przytuliła do siebie, jak dziecko.

— Moja Anielko! — rzekła — moje kochanie! Cóż na to poradzić... Wola Boska we wszystkiem! Mnie pięć folwarków grad poniszczył w czasie ostatniej burzy, a nawet panu Chwastowskiemu marnego słowa nie powiedziałam!

Nie wiem, dlaczego ta wzmianka o gradzie i pięciu folwarkach wydała mi się czemś egoistycznem i tak marnem w porównaniu do jednej łzy Anielki, że porwała mnie złość na ciotkę.

— Mniejsza o folwarki, — odpowiedziałem szorstko — jej idzie o zdrowie matki.

I odszedłem w męce, bom czuł, że zadaję mękę

kobiecie, którą kocham nad wszystko. Wygrałem niby na całej linii, a czuję ogromny smutek, jak gdyby przyszłość groziła mi czemś nieznanem a strasznem.

25 maja.

Dziś trzeci dzień od naszej ostatniej rozmowy. Anielka nie powtórzyła mi swego żądania, więc zostaję. Mało do mnie mówi, przesiaduje więcej w swoim pokoju, ale nie unika mnie zbytecznie; boi się zwrócić tem uwagę starszych pań. Ja staram się być dla niej dobry, troskliwy, przyjazny, ale nie narzucam się jej. Chcę, by jej się wydawało, że miłość moja sama się zdradza, ale że ja robię, co mogę, by ją w sobie zamknąć. Musi też widzieć, że uczucie moje się wzmaga, bo rzeczywiście wzmaga się z każdą chwilą. Niepodobna, żeby to nie miało na nią działać. Bądź co bądź, mamy już nasz świat odrębny, w którym jest nas tylko dwoje; mamy nasze wspólne tajemnice względem ciotki i pani Celiny. Gdy mówimy o rzeczach obojętnych, gdy usiłujemy, wobec ludzi, utrzymać pozory dawnego stosunku, czujemy tak samo oboje, że na dnie dusz naszych jest coś innego; mam wreszcie słowa i spojrzenia, które rozumie tylko

ona. Przyszło do tego samą siłą rzeczy — i jakkolwiek przyszło raczej wbrew woli, niż z wolą Anielki — jednakże nas to łączy. Czas, przywyknienie z jej strony i moja cierpliwość dokonają reszty. Ja z mojej miłości wysnuję tysiące takich nici, któremi ją omotam i które będą nas łączyły coraz mocniej. Byłaby to próżna robota tylko w takim razie, gdyby ona kochała męża. Wówczas wzbudziłbym w niej napewno nienawiść dla siebie. Lecz przeszłość jest za mną, a teraźniejszość nie należy do Kromickiego. Rozmyślam nad tem z całą siłą objektywizmu, jak gdybym był kimś trzecim, i zawsze dochodzę do tego przekonania, że ona go kochać nie może. Opór Anielki — to walka wewnętrzna duszy wyjątkowo czystej, która nie dopuszcza nawet myśli o wiarołomstwie. Ale nic jej nie wspiera w tej walce. Ja też nie łudzę się: wiem, że opór będzie długi i do złamania trudny. Muszę być zawsze czujnym, wszystko ogarniać myślą, ze wszystkiego zdawać sobie jasno sprawę; muszę tkać moją sieć z nici tak misternych, że prawie niewidocznych. Nie wolno mi będzie nigdy przycisnąć ani przedwcześnie, ani zbyt mocno, żadnego klawisza — ale też będę się strzegł omyłek i nie ustanę

póty, póki nie urobię tej duszy na moją modłę. Wreszcie, jeśli mi się zdarzy popełnić jakie błędy, to one wypłyną z miłości, i mam nadzieję, że dlatego samego wyjdą na moją korzyść.

26 maja.

Zawiadomiłem dziś Sniatyńskiego, że stanowczo zamierzam sprowadzić zbiory ojcowskie do Warszawy. Uczyniłem to z tem wyrachowaniem, że przez niego wieść ta dostanie się do redakcyi dzienników, które nie omieszkają podnieść mego zamiaru do znaczenia wielkiej obywatelskiej zasługi. Anielce mimowoli nasunie się porównanie między mną a Kromickim, które wypadnie na moją korzyść. Wysłałem też stąd depeszę, by mi jak najprędzej i osobno wyprawili ową główkę Sassoferrata.

W czasie śniadania powiedziałem Anielce umyślnie przy wszystkich, że ojciec zapisał jej ten obraz w testamencie, co ją zmieszało, domyśliła się bowiem natychmiast, że ojciec uważał ją wówczas za przyszłą swoją synową. Rzeczywiście w testamencie nazwisko jej nie było nawet wymienione; było powiedziane tylko: «Głowę Madonny, Nr. taki a taki, przeznaczam

dla przyszłej mojej synowej». Ale właśnie dlatego chciałem ją oddać Anielce. Tymczasem wzmianka o tym zapisie wywołała w nas obojgu cały świat wspomnień. Po to też ją uczyniłem, by zwrócić myśl Anielki do owych dawnych czasów, w których mnie kochała i mogła kochać z całym spokojem. Wiem, że zostało w jej sercu z tamtej epoki i wiele goryczy i wiele serdecznego żalu do mnie. Inaczej nie może być. Byłbym też zgubiony w jej sercu bez ratunku, gdyby nie owa prośba, którą w ostatniej chwili zaniosłem do niej przez Sniatyńskiego. Ale to jest okoliczność, łagodząca moje winy. Bo jednak Anielka, myśląc o tem, musi pomyśleć, żem chciał wszystko naprawić, żem ją kochał, żem cierpiał, żem pokutował i pokutuję dotąd, jeśli zaś oboje jesteśmy teraz nieszczęśliwi, to i ona przyłożyła się do tego. Tego rodzaju myśli muszą ją doprowadzić do odpuszczenia mi grzechów, do żalu po tej przeszłości i do upajania się obrazami szczęścia, jakieby było dziś naszym powszednim chlebem, gdyby nie moje winy i nie jej surowość.

Dostrzegłem i teraz na jej twarzy, że ona się boi tych upajających widzeń i że pragnie je rozproszyć rozmową o rzeczach obojętnych.

Ciotka ma obecnie tak zajętą głowę blizkimi wyścigami i spodziewanem zwycięstwem naszego «Naughtyboy'a» w gonitwie o nagrodę rządową, że nie może myśleć o czem innem; Anielka poczęła więc rozmawiać z nią o wyścigach. Ale mówiła, byle mówić, zatem z wielką dystrakcyą, i zadała kilka pytań tego rodzaju, że zgorszona ciotka rzekła jej wreszcie:

— Moje dziecko, widzę, że nie masz najmniejszego pojęcia, co to są wyścigi.

Ja powiedziałem jej oczyma: «Wiem, że w tej chwili chcesz się tylko zagłuszyć» — i ona zrozumiała mnie tak dokładnie, jakbym to wypowiedział słowami. I rzeczywiście, jestem prawie pewien, że ona tak samo jest pochłonięta naszym wzajemnym stosunkiem, jak i ja. Idea o miłości po za małżeństwem jest już wszczepiona w jej duszę, tkwi w niej i nie opuszcza jej ani na chwilę. Anielka musi z nią żyć i zżyć się. W takich warunkach serce kobiety, nawet kochającej męża, mogłoby się od niego odwrócić. Kropla wody, spadająca ciągle, wydrąża kamień. Jeśli Anielka mnie choć trochę kocha, jeśli kocha tylko przeszłość naszą, to musi być moją. Nie mogę o tem rozmyślać spokojnie, bo mnie przeczucie szczęścia dławi.

Gdzieniegdzie nad brzegami mórz znajdują się piaski chłonące. Dla wędrowca, który na nie wstąpi, niema ratunku. Czasem zdaje mi się, że moja miłość podobna jest do owych piasków. Ja wciągam na nie Anielkę, ale też i sam zapadam się coraz głębiej.

Byle razem!

28 maja.

Ciotka przesiaduje teraz po sześć do ośmiu godzin dziennie w Burzanach, jednym ze swoich folwarków, odległym o milę od Płoszowa, gdzie trawi czas na zachwycaniu się «Naughty-boy'em» i doglądaniu Anglika, Weba, który trenuje konie. Byłem tam wczoraj przez godzinę lub półtorej. «Naughty-boy» jest naprawdę obiecującym koniem, i może być, że nie okaże się zanadto «naughty», gdy przyjdzie pora popisów. Ale co mnie to może obchodzić! Różne sprawy powołują mnie do miasta, żal mi jednak opuszczać Płoszowa. Pani Celina czuje się słabszą, niż przed paru dniami. Młody Chwast, jak go nazywa ciotka, uważa to wprawdzie za przemijający objaw, każe tylko, żeby zawsze był ktoś przy chorej i rozrywał ją; inaczej poczyna biedna kobieta zaraz rozmyślać o stra-

cie ukochanego Głuchowa i nerwuje się coraz bardziej. Staram się jej okazywać synowską niemal troskliwość, bo w ten sposób zjednywam sobie wdzięczność Anielki i przyzwyczajam ją do uważania mnie za kogoś bliższego. Nie żywię już w sercu dawnej urazy do pani Celiny: zbyt jest na to nieszczęśliwa, a przytem, ja już poczynam kochać wszystkich, należących do Anielki — wszystkich — prócz jednego! Dziś i wczoraj spędziłem kilka godzin u chorej, w towarzystwie Anielki i Chwasta. Czytaliśmy i rozmawiali. Pani Celina nie sypia po nocach, że zaś doktor nie daje jej chloralu, więc w dzień, po każdej dłuższej rozmowie, wpada zwykle w głęboki sen, z którego — rzecz szczególna — budzi ją tylko cisza. Z tego powodu czytamy i rozmawiamy w dalszym ciągu. Tak było i dziś. Gdyby nie obecność doktora, mógłbym był zupełnie swobodnie rozmawiać z Anielką.

Właśnie dzienniki przyniosły wiadomość o ostatecznym przebiegu i ukończeniu sprawy rozwodowej pięknej pani Koryckiej. Cała Warszawa zajmuje się bardzo tą sprawą, a w szczególności ciotka, która jest daleką powinowatą Koryckiego. Ja postanowiłem skorzystać zaraz ze sposobności, by zaszczepić w duszy Anielki

kilka takich pojęć, które w niej dotąd nie postały.

— Ciotka — rzekłem tonem głębokiego przekonania — niesłusznie oburza się na postępowanie pani Koryckiej. Podług mnie, ona postępuje jak kobieta rozumna i prawa. Wola ludzka kończy się tam, gdzie zaczyna się miłość; nawet i ciotka musi się na to zgodzić. Jeśli pani Korycka kocha innego, to nie pozostaje jej nic, tylko rozstać się z mężem. Wiem, co powiedziałaby ciotka i co ty, prawdopodobnie, myślisz w tej chwili, Anielko: myślisz, że pozostaje jej obowiązek — czy nie prawda?

— Ja myślę, że i ty jesteś tego zdania — odpowiedziała Anielka.

— Niewątpliwie. Kwestya tylko, po której stronie jest obowiązek pani Koryckiej?

Nie rozumiem dobrze, dlaczego młody doktor zastrzegł się w tej chwili, że nie uznaje wolnej woli, następnie jednak zaczął słuchać uważnie, bo mu się podobała śmiałość moich poglądów,

Ja zaś, widząc zdziwienie na twarzy Anielki, mówiłem dalej:

— Co może być dzikszego i bardziej przeciwnego naturze, niż wymagać od kogoś, by istotę więcej kochaną poświęcił dla mniej ko-

chanej? Rozmaite wyznania religijne mogą być najsprzeczniejsze z sobą, wszystkie jednak mają jednakową etykę; małżeństwo zaś, według tej etyki, powinno się wspierać na miłości. Czemże więc ono jest? Albo czemś niezłomnem i istotnie świętem, jeśli wspiera się na takiej podstawie; albo, w przeciwnym razie, tylko sprzecznym z moralnością i religią kontraktem, który, jako niemoralny, winien być rozwiązany. Inaczej mówiąc, obowiązki kobiety wypływają z uczucia, nie zaś z całego szeregu mniej lub więcej uroczystych obrzędów, które same przez się są tylko szeregiem formalności. Mówię to dlatego, że jestem człowiekiem, który istotę rzeczy wyżej ceni od formy. Wiem, że wyraz «wiarołomstwo» brzmi bardzo przestraszająco. Ale nie łudźcie się, że kobieta staje się wiarołomną dopiero wówczas, gdy porzuca męża: ona nią jest — i jest całkowicie — już w chwili, w której poczuwa, że miłość jej dla niego przestaje istnieć. Co potem następuje, to już jest kwestyą tylko jej zdolności do logicznego postępowania, jej odwagi i jej serca, które umie albo nie umie kochać. Pani Korycka człowieka, dla którego się dziś rozwodzi, kochała jeszcze, nim wyszła za dzisiejszego swego męża — i nie oddała

mu swej ręki tylko wskutek nieporozumień, tylko dlatego, że wybuch jego zazdrości poczytała za obojętność. To był jej główny błąd, ale że dziś chce ten błąd naprawić, że zrozumiała, iż nie wolno jej poświęcać istoty ukochanej dla obojętnej — i że obowiązki jej są nie po stronie konwenansu, ale uczucia, to mogą jej wziąć za złe albo hipokryci, albo ludzie, mający przepaskę na oczach.

Było w tem, com mówił, tyleż kłamstwa, ile i szczerości. Wiedziałem, że ciotka nigdy w świecie nie zgodziłaby się na tę teoryę, że wola tam się kończy, gdzie zaczyna się miłość; alem powiedział tak umyślnie, by tę prawdę wrazić Anielce, jako nie podpadającą żadnej wątpliwości. Wiedziałem, że pani Korycka jest osobą lekkomyślną, z powodu której nie warto wytaczać ciężkich dział zasad; zmyśliłem wreszcie historyę o jej pierwszej miłości tylko dlatego, by analogię uczynić podobniejszą. Natomiast byłem szczery w tem, com mówił o prawach i obowiązkach, wypływających z uczucia. Inna rzecz, że może nie uznawałbym tej teoryi tak szczerze, gdyby mi mniej dogadzała, ale człowiek zawsze jest subjektywny, a zwłaszcza

człowiek, który zwątpił o wszystkich prawdach objektywnych.

Przemawiałem za sobą, i byłbym głupi, gdybym przemawiał przeciw sobie. Liczyłem, że wdrażając Anielkę w tego rodzaju pojęcia, przyśpieszam pożądaną dla mnie ewolucyę w jej duszy, bo mogą ją one ośmielić i rozgrzeszyć we własnych oczach. Mając na uwadze wielką jej wrażliwość, przypuszczałem, że szczepienie moje przyjmie się choć w części. Jakoż ona rozumiała mnie doskonale, i łatwo mi było spostrzedz, że każde słowo moje gra na jej nerwach, jak na strunach. W miarę, jakem mówił, na twarzy jej zjawiały się coraz widoczniejsze różowe piętna; przyłożyła kilkakroć rękę do pałających policzków, jakby chcąc je ochłodzić, wreszcie, gdym skończył mówić, rzekła:

— Wszystkiego można dowieść, ale gdy się źle robi, sumienie zawsze powie: źle! źle — i niczem nie da się przekonać.

Młody Chwastowski musiał zapewne w tej chwili pomyśleć, że Anielce brak zupełnie filozoficznego wykształcenia, ja jednak wyznaję, że w pierwszej chwili doznałem takiego uczucia, jak gdybym na przykład fechtując się, trafił ostrzem szpady w ścianę. Odpowiedź Anielki,

przez swoją prostotę i przez swoją dogmatyczność, uczyniła jedno nic ze wszystkich moich wywodów. Bo jeżeli zasada, że wola tam się kończy, gdzie zaczyna się miłość, może ostatecznie podlegać wątpieniu, to natomiast zupełnym pewnikiem jest, że gdzie zaczyna się dogmat, tam kończą się rozumowania. Kobiety w ogóle, zwłaszcza jednak Polki, póty zgadzają się na logikę, póki nie staje się ona dla nich groźną. Gdy ujrzą niebezpieczeństwo, chowają się za ową fortecę prostych wierzeń i prawd katechizmowych, którą może zburzyć samo tylko uczucie, ponieważ rozum jest wobec niej bezsilny. Jest to ich słabość i zarazem ich moc, albowiem myślenie ich posiada przez to mniej tęgości od myślenia mężczyzn, natomiast świętość ich może być w pewnych warunkach niepokonana. Dyabel potrafi przywieść do upadku kobietę tylko w razie, jeśli ją rozkocha; drogą rozumowania nic z nią nie wskóra, choćby wyjątkowo miał rację.

Wobec podobnych uwag, ogarnęło mnie wielkie zniechęcenie. Pomyślałem, że każdy gmach, który ja najmisterniej i najmozolniej wzniosę, Anielka przewróci jednym okrzykiem: «Źle! sumienie na to nie pozwala!» I wobec tego pozo-

stanę bezsilny. Potrzeba mi przytem wielkiej ostrożności, by jej nie przestraszać zbytnią śmiałością wyobrażeń, które staram się jej wszczepić, i nie zrazić jej dla siebie.

A jednak nie mogę się wyrzec i tego rodzaju usiłowań. Nie odegrają one nigdy głównej roli w procesie przyswajania jej duszy — prawda! Ale mogą odegrać pomocniczą — i przyśpieszyć rozwiązanie. Na nic się nie przydadzą tylko w tym razie, jeśli ona mnie nie kocha. Byłaby to straszna pomyłka, lecz i wówczas musiałoby nastąpić jakieś rozwiązanie.

29 maja.

Zastałem dziś Anielkę w sali jadalnej, stojącą na krześle przed wielkim zegarem gdańskim, w którym się coś popsuło. W chwili, gdy wspięła się na palce, chcąc nastawić wskazówkę, stołek zagibotał się pod nią. Miałem tylko czas wykrzyknąć: «Spadniesz!« — i porwawszy ją na ręce, postawiłem na ziemi. Przez jedno mgnienie oka przyciskałem do piersi to drogie ciało; włosy jej musnęły mnie w przelocie, i uczułem na twarzy jej oddech. Dostałem takiego zawrotu głowy, żem sam musiał się chwycić za poręcz krzesła, by nie upaść — i ona to wi-

działa. Ona wie, że ją kocham bez pamięci! Nie mogę dziś pisać dłużej.

30 maja.

Miałem dzień zatruty, bo Anielka odebrała znów rano list od Kromickiego. Słyszałem, jak mówiła ciotce, że on sam nie wie, kiedy będzie mógł przyjechać; być może, iż wkrótce, być może, iż dopiero za dwa miesiące. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak zniosę jego obecność przy Anielce. Czasem wydaje mi się, że poprostu nie zniosę. Liczę tylko na szczęśliwy zbieg okoliczności, który może powstrzymać jego przybycie. Chwastowski zapowiedział, że pani Celina musi udać się do Gasteinu, jak tylko jej siły na to pozwolą. Jest to tak daleko od Baku, iż przypuszczam, że Kromickiemu wyda się za daleko. Ja zaś pojadę, jak Bóg na niebie! Co za szczęśliwy pomysł tego Chwastowskiego i dla mnie i dla pani Celiny, której tamtejsze kąpiele mogą istotnie wrócić zdrowie. Ja także jestem zmęczony i potrzebuję górskiego powietrza, a jeszcze bardziej potrzebuję być przy Anielce. Jutro ruszam do Warszawy i zatelegrafuję do zarządu kąpielowego, by mi najęto dla tych pań mieszkanie. Jeżeliby wszystko było zajęte, go-

tówem kupić całą willę. Gdy pani Celina mówiła o trudnościach i kłopotach, jakie w razie wyjazdu spadną na Anielkę, ja powiedziałem: «Zdajcie to panie na mnie» — poczem, zwróciwszy się do Anielki, dodałem ciszej: «Urządzę wszystko tak, jak dla matki własnej». Widziałem, że pani Celina, która coraz mniej wierzy w miliony Kromickiego, ma obawę, abym nie urządził im pobytu zbyt drogo, ale ja już postanowiłem w duchu pokazać im kontrakt fikcyjny, główne zaś koszta wziąć na siebie. Naturalnie, żem dotąd ani wspomniał, iż i ja wybieram się do Gasteinu. Postanawiam poprowadzić tak zręcznie tę sprawę, by mi ciotka sama to zaproponowała — i przypuszczam, że doprowadzę ją do tego, bo jej ani w głowie żadne podejrzenia. Jestem prawie przekonany, że jak zacznę się namyślać i wyszukiwać jakichś gór na letni pobyt, ciotka powie mi: «To jedź z temi paniami; będzie im i tobie raźniej». Wiem, że Anielkę to przestraszy, ale może w jakim najtajniejszym kąciku duszy i uraduje. Może przyjdzie jej do głowy wiersz z Kordyana: «Jesteś wszędzie: nade mną, koło mnie i we mnie!» Rzeczywiście, moja miłość tworzy koło niej krąg zaklęty; otacza ją, zobowiązuje, przejednywa,

wciska się do jej serca pod postacią troskliwości o nią i o jej matkę, pod postacią przysług, jakich odrzucić nie może, nie chcąc otworzyć oczu matce na to, co się dzieje, i pogorszyć jej stanu tem odkryciem; przenika ją jako wdzięczność dla mnie i jako współczucie dla wielkiego cierpienia; narzuca się jej wreszcie siłą wspomnień.

Od rana do wieczora Anielka słyszy tylko pochwały o mnie; ciotka jest zaślepiona we mnie, jak zawsze; młody Chwastowski, chcąc okazać bezstronność, do jakiej zdolni są ludzie jego obozu, utrzymuje, że jestem wyjątkiem w swej «spróchnialej sferze»; przejednałem sobie nawet panią Celinę. Okazuję jej tyle serca, że ona lubi mnie teraz — powiedzialbym — mimowoli — i jestem pewien, iż w głębi serca żałuje, że nie jestem mężem Anielki. Naokół Anielki jest jedna wielka suggestya miłości, składająca się z ludzi i natury.

A ty, kochana, czy się oprzesz tym wszystkim siłom? Kiedyż ty przyjdziesz do mnie i powiesz mi: «Już nie mogę dłużej — weź mnie, bo cię kocham!»

Warszawa, 31 maja.

Pani L., opiekunka jednego z tutejszych towarzystw dobroczynnych, prosiła Klarę o drugi koncert na rzecz tegoż towarzystwa. Klara odmówiła, tłómacząc się tem, że pracuje nad większym utworem muzycznym i potrzebuje całego skupienia umysłu. Do listu jednak, który był wzorem uprzejmej odmowy, dołączyła taką samą sumę, jaką przyniósł pierwszy jej koncert. Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie uczynił jej postępek w Warszawie. Dzienniki rozpisują się o tem dotychczas, wynosząc pod niebiosa artystkę i jej wspaniałomyślność. Naturalnie fortuna jej ojca, który jest istotnie bardzo bogaty, urosła w ich opowiadaniach w trójnasób. Nie wiem, skąd się wzięły w towarzystwie wiadomości, że Klara wychodzi za mnie za mąż. Może powód do nich dała nasza dawna znajomość i zażyłość, oraz przesadzone wieści o milionach artystki? Byłem z tego powodu trochę zły, ale po namyśle postanowiłem wieściom nie przeczyć, bo stawiają one mój stosunek do Anielki po za obrębem wszelkich podejrzeń.

Gdym był dziś na południowem przyjęciu u Klary, pierwsza pani Korycka zbliżyła się do

mnie z miną wielce dowcipną i przy kilkunastu osobach ze świata muzycznego i z naszego warszawskiego high-life'u, rzekła na cały głos:

— Kuzynku, kto to w mitologii nie mógł się oprzeć śpiewowi syreny?

— Nikt się nie oparł, kuzynko, — odpowiedziałem — z wyjątkiem Odyssa, ale i ten oparł się tylko dlatego, że był przywiązany do masztu.

— A ty byłeś mniej przezorny?

Kilka osób przygryzło usta, czekając mojej odpowiedzi, więc odrzekłem:

— Czasem i to nie pomaga. Ty wiesz najlepiej, że miłość rozrywa wszelkie węzły.

Pani Korycka zmieszała się, mimo całej pewności siebie, ja zaś odniosłem jedno z takich małych zwycięstw, o których opowiada się po salonach z nieodłączną cytatą przysłowia: «Trafiła kosa na kamień!»

Czy ludzie powtarzają sobie, czy nie, że się żenię z Klarą, jest mi to obojętne, a nawet dla powodów, które wymieniłem, wolę, że tak mówią. Nie spodziewałem się jednak, że moje odwiedziny u Klary skończą się nieprzyjemnie z powodu jej samej. Gdy ludzie porozchodzili się i zostałem tylko ze Śniatyńskim, Klara poczęła nam grać swój świeżo ułożony koncert,

rzeczywiście tak wspaniały, że nie mogliśmy znaleźć dość pochwał; tymczasem, powtórzywszy na nasze żądanie finał, Klara rzekła nagle:

— To jest pożegnanie — bo wreszcie wszystko na świecie kończy się pożegnaniem.

— Przecie pani nie myśli nas opuścić? spytał Śniatyński.

— Najdalej za dziesięć dni muszę być we Frankfurcie — odpowiedziała Klara.

Tu Śniatyński zwrócił się do mnie:

— Cóż ty na to, ty, który w Płoszowie karmiłeś nas nadzieją, że pani na zawsze z nami zostanie?

— I powtórzę raz jeszcze, że wspomnienie pani na zawsze z nami zostanie.

— Ja też to tak rozumiałam — odrzekła z naiwną rezygnacyą Klara.

Mnie zaś porwała złość na siebie, na Śniatyńskiego i na Klarę. Nie jestem ani dość próżny, ani dość głupi, ani dość płaski, by mnie nad wszystko miał cieszyć każdy podbój; myśl więc o tem, że Klara może naprawdę kochać się we mnie i żywić nieuzasadnione nadzieje, była mi nad wyraz przykrą. Wiedziałem, że ona ma dla mnie jakieś nieokreślone uczucie, które w danym razie mogłoby się rozwinąć bardzo silnie, ale nie spodziewałem się, żeby to

uczucie śmiało czegoś żądać i czegoś się spodziewać. Przyszło mi nagle do głowy, że cała zapowiedź wyjazdu może być tylko chęcią sprawdzenia, jak ja przyjmę tę wiadomość. Przyjąłem ją więc jak najchłodniej. Miłość taka, jaką mam dla Anielki, powinna uczyć współczucia; tymczasem nietylko smutek Klary i jej wzmianka o wyjeździe nie wzruszyły mnie, ale wydały mi się wprost zuchwałem uroszczeniem — i obrazą dla mnie.

Dlaczego? Przecie nie z żadnych względów rodowych. Daleki jestem od podobnego rodzaju poglądów. Na razie nie umiałem sobie zdać z tego sprawy, teraz jednak tłómaczę sobie to dziwne zjawisko moją przynależnością do Anielki, tak bezwzględną i wyłączną, iż wydaje mi się, że każda kobieta, żądająca ode mnie choćby jednego tylko uderzenia serca, porywa się tem samem na własność Anielki. To tłómaczenie wystarcza mi.

Niewątpliwie pożegnam Klarę bardzo serdecznie, gdy będzie już w wagonie, ale ta przedwczesna zapowiedź wyjazdu napełniła mnie niesmakiem! Chyba jednej Anielce wolnoby było deptać bezkarnie po moich nerwach. Nigdy nie

patrzyłem na Klarę tak niechętnie i tak krytycznie, jak w tej chwili. Po raz pierwszy spostrzegłem, że obfitość jej kształtów, jej jasna cera, ciemne włosy, błękitne, za wypukłe oczy i usta koloru wiśni, słowem, że cała jej piękność przypomina niesmaczne obrazy, przedstawiające haremowe huryski, lub co gorzej, oel-druki, widywane w drugorzędnych hotelach. Wyszedłem od niej w jak najgorszem usposobieniu i udałem się wprost do księgarni, w której chciałem wybrać kilka książek dla Anielki.

Już od tygodnia myślałem nad tem, coby jej dać do czytania. Nie chciałem pominąć i tego środka; naprawdę jednak, nie przywiązuję do niego wielkiej wagi, gdyż działa on bardzo powolnie. Zauważyłem przytem, że dla naszych kobiet, mających nierównie bujniejszą fantazyę, niż temperament, książka pozostaje zawsze czemś nierzeczywistem. Jeśli nawet trafia na istotę bardzo wrażliwą, wytwarza w najlepszym razie w jej głowie jakiś świat oderwany, bezcielesny, nie mający najmniejszego związku z życiem praktycznem. Prawie żadnej z naszych kobiet nie przyjdzie do głowy, żeby pojęcia, poczerpnięte z książek, mogły być stosowane do osobistego postępowania. Jestem przekonany, że

gdyby jaki wielki i sławny autor usiłował dowieść Anielce, że naprzykład, czystość myśli i duszy w kobiecie nietylko jest zbyteczną, ale ze stanowiska moralności wprost naganną — i co więcej — gdyby tego jakim cudem dowiódł, Anielka sądziłaby, że ta zasada stosować się może do całego świata, z wyjątkiem jej osoby.

Co najwyżej mogę się spodziewać, że czytanie odpowiednich książek oswoi Anielkę z pewnego rodzaju liberalizmem uczuć i myśli. Właściwie też nie życzę sobie niczego więcej. Kochając ją z całej duszy, pragnę, by odpowiedziała memu uczuciu, szukam do tego dróg, nie pomijam żadnej — i oto wszystko. Ja, który się nie okłamuję nigdy, powiadam sobie otwarcie: pragnę doprowadzić Anielkę do tego, by poświęciła męża dla mnie, ale nie chcę jej ani popsuć, ani zbrudzić. Niech mi nikt nie mówi, że jedno wyłącza drugie i że to jest sofizmat; ja i tak mam w sobie sceptycznego dyabła, który dokucza mi i co chwila mówi: «Tworzysz teorye dla siebie; droga wiarołomstwa jest drogą zepsucia; gdyby ci było dogodniej, tworzyłbyś teorye przeciwne». Ile w tem męki! Ale oto, co odpowiadam memu dyablu: «O teoryach przeciwnych mógłbym równie dobrze wątpić; ob-

myślam, co się da obmyślić na obronę mego kochania — bo to moje naturalne prawo. Drugiem, jeszcze większem naturalnem prawem jest miłość. Bywają uczucia płaskie i pospolite, albo wyniosłe i niepowszednie. Kobieta, która idzie za głosem wielkiego uczucia, nie traci szlachectwa duszy, choćby była zamężna. Taką wielką, wyjątkową miłość pragnę właśnie wzbudzić w sercu Anielki, i dlatego mogę powiedzieć, że jej nie chcę popsuć lub zbrudzić».

Wreszcie te rozprawy wewnętrzne nie prowadzą do niczego. Gdybym nawet nie miał najmniejszej wątpliwości, że źle czynię, gdybym nie potrafił dać ani jednej zwycięskiej odpowiedzi memu Chochlikowi, nie przestałbym wskutek tego kochać i poszedłbym zawsze za siłą większą, to jest postępowałbym tak, jakby mi nakazywało żywe uczucie, nie oderwane rozumowania.

Ale prawdziwem nieszczęściem analizujących i przeanalizowanych ludzi współczesnych jest to, że nie wierząc w rezultaty analizy, mają zarazem nieprzezwyciężony nałóg badania wszystkiego, co w nich zachodzi. Tak jest i ze mną. Od pewnego czasu trapi mnie pytanie, jakim sposobem dzieje się, że ja, którego

istota jest pochłonięta przez uczucie, umiem być tak czujny, obmyślać tak wszystkie środki, mające mnie poprowadzić do celu, tak zdaję sobie z nich sprawę, jakbym to czynił na zimno, lub raczej jakby to czynił za mnie kto inny.

Oto, co mogę w tym względzie odpowiedzieć. Przedewszystkiem człowiek dzisiejszy zachowuje zawsze jakąś część duszy, której używa do obserwowania reszty. Prócz tego, cała ta zabiegliwość uczucia, pełna rozmysłu, obliczeń, nawet zasadzek, pozornie zimna, stoi właśnie w stosunku prostym do temperatury tegoż uczucia. Im ono jest gorętsze, tem silniej zmusza chłodny rozum do natężonej służby. Bo, powtarzam jeszcze raz, że miłość źle sobie wyobrażają z zawiązanemi oczyma. Ona nie potłumia rozumu, zarówno jak nie potłumia bicia serca lub oddychania — ona go tylko podbija. Rozum staje się wówczas pierwszym jej doradcą i narzędziem podboju; inaczej mówiąc, staje się Agrypą cezara Augusta. On trzyma wszystkie siły w rozbudzeniu, on prowadzi wojska, on odnosi zwycięstwa, on sadza swego władcę na tryumfalnym wozie, on wreszcie wznosi — nie Panteon, jak historyczny Agrypa — ale Monoteon, w którym służy na kolanach jedynemu

bóstwu cezara. W tym mikrokosmie, jakim jest człowiek, rola rozumu jest nawet większa, niż rola hetmana, on bowiem odbija do nieskończoności świadomość wszystkiego i siebie samego, jak zbiór odpowiednio ustawionych zwierciadeł odbija do nieskończoności dany przedmiot.

1 czerwca.

Wczoraj odebrałem wiadomość z Gasteinu. Mieszkanie dla pani Celiny i Anielki jest już najęte. Posłałem im zaraz tę wiadomość, wraz z całą paczką powieści George Sanda i Balzaca. Dziś jest niedziela, pierwszy dzień wyścigów. Ciotka przyjechała z Płoszowa i stoi u mnie. Oczywiście była na wyścigach i jest całkowicie nimi zajęta. Ale konie nasze: «Naughty-boy» i «Aurora», które już od dwóch dni przebywają, wraz z Webem i dżokejem Dżakiem Goose, w mojej stajni, biegają dopiero w następny czwartek, więc ten pierwszy dzień obchodził ciotkę tylko platonicznie. Natomiast trudno mi opisać, co się u nas wyrabia. Stajnie nasze zmieniły się w fortece. Ciotce się zdaje, że dżokeje innych hodowców drżą na samo wspomnienie «Naughty-boy'a» i że gotowi użyć wszelkich

środków, byle go uczynić niezdolnym do biegu lub osłabić, wskutek czego w każdym przekupniu pomarańcz lub kataryniarzu widzi przebranego nieprzyjaciela, zakradającego się w złych zamiarach na nasze podwórze. Szwajcar w bramie i stróż domowy dostali najsurowsze polecenia, by zwracali uwagę na każdego wchodzącego. W stajni straż jeszcze pilniejsza. Trener Web, jako prawdziwy Anglik, zachowuje zimną krew, ale nieszczęśliwy Dżak Goose, który jest rodem z Burzan, i którego nazwisko jest dosłownym przekładem z polskiego: Kuba Gąsior, traci zupełnie głowę; ciotka bowiem łaje nieustannie i jego i dwóch innych stajennych, przybyłych również z Burzan dla pilnowania koni. Przesiadywała tak ciągle u «Naughty-boy'a», że ledwiem ją widział, i dopiero na odjezdnem powiedziała mi dobrą nowinę: pani Celina, która znów jest jakaś silniejsza, postanowiła, że Anielka koniecznie ma być na czwartkowych wyścigach. Sądzę, że pani Celina domyśliła się, iż ciotce będzie to przyjemnie; zresztą, ona doskonale może pozostać przez jeden dzień pod opieką panien służących i doktora. Anielka zaś, która siedzi jak zamurowana w Płoszowie, potrzebuje rzeczywiście jakiejś rozrywki. Dla mnie to ra-

dość wielka. Sama myśl, że ona będzie pod moim dachem, ma dla mnie dziwny urok. W tym domu począłem ją kochać, a może i jej serce uderzyło żywiej dla mnie po raz pierwszy także tu, po owym wieczorze, który ciotka dla mnie wydała. Wszystko będzie jej tutaj przypominało te chwile.

2 czerwca.

Dobrze, że nie kazałem jeszcze przerabiać sal na muzeum. Przyszło mi do głowy prosić po wyścigach kilka milych Anielce osób na obiad. Tym sposobem zatrzymam ją o parę godzin dłużej pod moim dachem — a przytem ona zrozumie, że to będzie obiad dla niej, na jej cześć.

3 czerwca.

Zakupiłem morze kwiatów; kazałem ubrać nimi całe schody i dwie sale. Pokój Anielki został zupełnie taki, jakim był w czasie, gdy ona go zajmowała. Przypuszczam, że te panie przyjadą rano, i że Anielka zechce się przebrać w nim na wyścigi; kazałem więc postawić tam duże zwierciadło i urządzić całą gotowalnię kobiecą. Anielka wszędzie spostrzeże dowody

mej troskliwości, pamięci i uczucia. Teraz dopiero, pisząc, spostrzegam się, o ile mi jest lepiej, gdy się czemśkolwiek zajmuję, gdy mnie jakieś zewnętrzne czynności wyrywają z błędnego koła refleksyi i rozmyślania nad samym sobą. Sądzę, że wbijanie w ścianę gwoździ, na których mają wisieć obrazy w przyszłem muzeum, byłoby więcej warte od tego wewnętrznego obwijania jednej myśli naokół drugiej. Czemu ja już nie mogę być człowiekiem prostym! Gdybym nim umiał być w swoim czasie, byłbym dziś jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie.

4 czerwca.

Byłem dziś z zaproszeniem u Śniatyńskich i u kilku innych osób. Śniatyński, zgodnie z mojem życzeniem, rozpuścił już na cztery strony świata wiadomość, że sprowadzam zbiory ojcowskie do Warszawy i urządzam dostępne dla publiczności muzeum. Jestem bohaterem dnia. Wszystkie dzienniki rozpisują się o tem, dając przy sposobności odpowiednią lekcyę ludziom możnym, «którzy trwonią czas i pieniądze za granicą» etc. Tak znam ich styl i sposób pisania, że przewidziałem z góry, co napiszą, po-

cząwszy od treści, a skończywszy na takich frazesach, jak «noblesse oblige» i t. p. Ale wszystko to jest mi na rękę. Zebralem całą paczkę gazet, by pokazać je ciotce i Anielce.

5 czerwca.

Wyścigi przyśpieszono o dzień z powodu jutrzejszego święta. Anielka i ciotka przyjechały dziś rano w towarzystwie pokojowej i całego stosu pudeł, zawierających wyścigowe tualety. Pierwszy rzut oka na Anielkę wzruszył mnie i przestraszył. Spostrzegłem, że zmizerniała bardzo; policzki jej pobladły, straciła swój dawny ciepły koloryt, zeszczuplała, i było w niej coś mglistego, co mi przypomniało postacie Puvis'a de Chavannes. Ciotka i matka jej nie widzą tego, bo są ciągle z nią razem, ale dla mnie, po kilku dniach niebytności w Płoszowie, różnica już jest wyraźna. Ogarnia mnie skrucha i serdeczna litość. Oczywiście, że przyczyną tego wszystkiego jest rozterka i walka wewnętrzna w jej sercu. Gdybyż ona chciała ją rozstrzygnąć, gdybyż chciała pójść za głosem tego serca, które jest moje, po sto razy moje i które przemawia za mną — skończyłby się jej niepokój, a zaczęło szczęście.

Ja zapadam coraz głębiej w moje piaski

chłonące. Zdaje mi się przecie, że znam każdy szczegół, każdy najdrobniejszy rys twarzy Anielki, i że wyobrażam ją sobie, gdy jej nie widzę, jakby żywa stała przede mną, a jednak za każdym razem, ujrzawszy ją po kilku dniach rozstania, odkrywam w niej jakiś nowy urok i znajduję nowe upodobanie. Nie umiem nawet wypowiedzieć, do jakiego stopnia ona zadowala mnie estetycznie, jak głęboko odczuwam, że to jest mój rodzaj, moja piękność, moja kobieta. To odczuwanie daje mi jakąś wpół mistyczną, wpół zbliżoną do przyrodniczej hipotezy, wiarę, że natura przeznaczyła ją dla mnie. I teraz, gdym, usłyszawszy turkot powozu na dziedzińcu, zbiegł na dół, by powitać te panie, doznałem znów owego wrażenia, którebym nazwał oddawaniem się w moc jej urokowi; znów rzeczywistość wydała mi się doskonalszą od obrazu, jaki nosiłem w duszy.

Anielka ubrana była w lekki, podróżny płaszczyk z surowego jedwabiu; kapelusz jej okręcała długa, szara woalka, zawiązana à l'anglaise pod brodą, i z tych szarych ramek uśmiechała się jej śliczna, droga twarz, zawsze podobniejsza raczej do twarzy dziewczynki, niż zamężnej kobiety. Przywitała mnie niezwykle wesoło

i serdecznie: widocznie ranna przejażdżka i nadzieja zabawy wprowadziła ją w dobre usposobienie; napełniło mnie to radością, bom pomyślał, że ją jednak cieszy mój widok, a Płoszów beze mnie wydaje się jej pusty i nudniejszy. Jako gościnny gospodarz, podałem jedno ramię ciotce, drugie Anielce, na co zresztą szerokość schodów pozwala, i poprowadziłem je na górę. Na widok wspaniale przybranych kwiatami schodów, ogarnęło je wielkie zdziwienie, ja zaś rzekłem:

— To jest moja niespodzianka...

Tu przycisnąłem nieco ramię Anielki, ale tak lekko, że mogło tu ujść za ruch przypadkowy i mimowolny, następnie zwróciłem się do ciotki:

— Daję obiad dla uczczenia zwycięstwa rodziny Płoszowskich.

Ciotkę rozczuliła bardzo moja intencya. Ach, gdyby wiedziała, jak mało mnie obchodził w tej chwili «Naughty-boy» i wszystkie zwycięstwa, jakie konie Płoszowskich mogły odnieść na turfach całej Europy! Anielka za to odgadła widocznie, co należy myśleć o moich intencyach, była jednak w tak ożywionem usposobieniu, że

spojrzawszy na mnie przelotnie, przygryzła w uśmiechu usta.

Ja zaś małom nie stracił głowy. Zdawało mi się, że widzę w Anielce odcień jakiejś wesołej kokieteryi, którego nie było u niej dotąd. Niepodobna, pomyślałem sobie, żeby ona nie miała całkiem miłości własnej, żeby jej to ani trochę nie pochlebiało, iż wszystko, co czynię, czynię dla niej i przez nią.

Tymczasem ciotka, zdjąwszy płaszcz od kurzu, poszła oglądać «Naughty-boy'a» i «Aurorę», ja zaś podałem Anielce listę zaproszonych na obiad osób i rzekłem:

— Starałem się wybrać tylko miłych ci ludzi, ale jeśli jeszcze każesz kogo zaprosić, natychmiast wyślę zaproszenie, albo sam pojadę.

— To cioci pokaż, — odpowiedziała Anielka — niech ciocia wybiera.

— Nie. Ciotka będzie siedziała na pierwszem miejscu, i będziemy do niej przychodzili z życzeniami lub kondolencyą, a rolę gospodyni w tym domu przeznaczyłem tobie.

Anielka zaczerwieniła się nieco, i chcąc zwrócić rozmowę, rzekła:

— Mój Leonie, czy aby ten «Naughty-boy»

wygra, bo ciocia tak na to liczy i tak jej o to chodzi?

— Jam już wygrał, bo mam takiego gościa, jak to stworzenie, które oto siedzi przede mną.

— Ty sobie żartujesz, a ja doprawdy boję się.

— Ciotka, widzisz, — odrzekłem poważniej — nawet w razie przegranej, będzie miała jedną wielką pociechę. Moje zbiory za jakie kilka tygodni będą już w Warszawie, a to było jej marzenie od lat kilkunastu. Jeszcze ojca namawiała na przeniesienie ich do kraju bardzo usilnie. Już wszystkie gazety rozpisują się o tem — i co za pochwały czytałem o sobie — to trudno wypowiedzieć.

A jej droga twarz rozjaśniła się w jednej chwili.

— Pokaż, przeczytaj! — rzekła.

Miałem ochotę całować ją po rękach za ten przebłysk radości. Był to dla mnie nowy dowód. Przecie, gdybym jej był zupełnie obojętny, nie cieszyłyby jej tak pochwały dla mnie.

— Nie, — odrzekłem — przeczytam, jak ciotka wróci, a raczej poproszę ją, żeby sama przeczytała, ja zaś schowam się przez ten czas za ciebie, bo będę miał niemądrą minę, a prze-

dewszystkiem nie chcę, żebyś ty moją niemądrą minę widziała.

— Dlaczego masz mieć niemądrą minę?

— Dlatego, że wszystko to nie moja zasługa, tylko twoja. Te pochwały tobie się należą. Cobym dał za to, żebym mógł powiedzieć panom dziennikarzom: «Jeśli to uważacie za tak wielką rzecz, to jedźcie gremialnie do Ploszowa i tam klęknijcie u pewnych nóżek...»

— Leonie! Leonie! — przerwała Anielka.

— Cicho, małe nic-dobrego, bo i ja to zrobię i nie wstanę pierwej, póki nie przyznasz, że to twój wpływ.

Anielka sama nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Słowa moje były wprawdzie mową człowieka zakochanego bez pamięci, ale ten ton swobodny, żartobliwy i wesoły wytwarzał pewnego rodzaju nastrój, wobec którego tragiczne przyjmowanie tego, com mówił, było wprost niemożliwe.

Ja zaś rad byłem z tego nowego sposobu, bo widziałem, że za pomocą niego można dużo wypowiedzieć i dużo wyznań wcisnąć.

Nie chcąc go jednak ani nadużywać, ani przeciągnąć, począłem w tej chwili mówić po-

ważniej o zmianach, jakie zamierzam wprowadzić w domu.

— Całe piętro przeznaczam na pomieszczenie zbiorów, — rzekłem — z wyjątkiem tego jednego pokoju, w którym ty zaprzeszłej zimy mieszkałaś. Ten zostanie, jak był. Pozwoliłem go sobie tylko trochę dziś przyozdobić na twoje przyjęcie.

Tak mówiąc, poprowadziłem ją ku drzwiom. Anielka, stanąwszy w progu, nie mogła powstrzymać okrzyku:

— Ach! co za kwiaty!

Ja zaś powiedziałem zcicha:

— Tyś sama kwiat, najpiękniejszy w świecie...

Poczem dodałem poważnie:

— Ty mi przecie, Anielko, wierzysz, gdy ci mówię, że tu chcę kiedyś umrzeć.

Och! ile było szczerości w tem, com powiedział. Twarz Anielki zaszła jakby mgłą; radość jej zgasła. Widziałem, że ją słowa moje wzruszyły bardzo, jak wzrusza każdy prawdziwy krzyk serca. Przez jedno mgnienie oka, jej głowa, ramiona i piersi zadrgały, jakby jakaś siła, stanąwszy za nią, popchnęła ją nagle ku mnie. Ale ona oparła się jeszcze tym razem. Chwilę stała

przede mną z oczyma nakrytemi przez powieki, wreszcie rzekła z jakąś smutną powagą:

— Pozwól mi być z tobą swobodną. Nie zasmucaj mnie.

— Dobrze, Anielko — rzekłem: — układ zawarty, oto moja ręka!

I wyciągnąłem ku niej dłoń. Anielka oddała mi uścisk tak silnie, jakby nim chciała wypowiedzieć wszystko, czego zabroniła powiedzieć ustom. Nagrodził on mi też tysiąckrotnie wszelkie słowa i upoił mnie tak, iż ledwiem się na nogach nie zachwiał. Po raz pierwszy od czasu mego powrotu, uczułem wyraźnie, że oto obejmuję w posiadanie tę istotę, wraz z jej duszą i ciałem. Było to wrażenie szczęścia tak niezmiernego, iż łączył się z niem jakiś strach. Otwierał się przede mną nowy, nieznany świat. Jestem od tej chwili przekonany, że opór jej to tylko kwestya niedługiego czasu i mojej odwagi.

Ciotka wróciła ze stajen w różowem usposobieniu; żaden zamach na szacowne zdrowie «Naughty-boy'a» nie miał miejsca. Trener, Web, na wszystkie pytania ciotki, znajdował tylko jedną odpowiedź: «All right» — Dżak Goose pełen animuszu. Poszliśmy do okien, by widzieć,

jak przyszłego zwycięzcę będą wyprowadzali ze stajni, zbliżała się bowiem chwila, w której miał wyruszyć na pole Mokotowskie i tam dreptać w kółko, czekając na swoją kolej. Jakoż po kilku minutach ujrzeliśmy, jak dwaj stajenni wyprowadzili go na dziedziniec, ale oczy nasze nie bardzo mogły się nasycić pięknością jego kształtów, był bowiem jakby zaszyty w pokrowiec. Tylko przez otwory, powycinane w kapie, widać było jego wielkie, łagodne oczy, z pod dolnego obrębu zaś wysuwały się jego sprężyste nogi, które istotnie zdawały się być ze stali wykute. Za nim postępował Web, w końcu zaś nasz domorosły, mały Anglik, Dżak Goose, przybrany w nowy surdut, pokrywający kurtkę i w dżokejskie buty. Na drogę krzyknąłem mu przez otwarte okno:

— A nie daj się tam Kuba!

On zaś zdjął czapkę, i ukazując nią «Naughty-boy'a», odpowiedział wesoło, najczystszym, nie londyńskim, ale burzańskim akcentem:

— Bedom, prosę jaśnie hrabiego, widzieli, ale ino jego zad!

Zasiedliśmy do śniadania, które odbywało się pośpiesznie; ciotka jednak znalazła dość czasu, by przy czarnej kawie przeczytać, co mówią

dzienniki o sprowadzeniu zbiorów ojca do Warszawy. Dziwna rzecz, jak kobiety są wrażliwe na wszelką publiczną pochwałę dla blizkich im mężczyzn. Ciotka aż zakwitła z radości — i była wprost nieoszacowana, gdy przerywając co chwila czytanie, spoglądała przez okulary na mnie z uwielbieniem, na Anielkę z bacznością — i od czasu do czasu mówiła dogmatycznym tonem:

— Nic nie przesadzili! Zawsze był taki!

Ja dziękowałem tylko Bogu, że nie było przy tem jakiego mężczyzny sceptyka; w takim razie naprawdę miałbym niemądrą minę.

Nadeszła godzina ubierania się pań. Na odchodnem ciotka, ułożywszy jak można najobojętniejszą twarz, rzekła:

— Musimy się śpieszyć, bo obiecałam małej Zawiłowskiej, że ją wezmę na wyścigi; miała jechać z ojcem, ale on parę dni temu miał atak podagry.

To rzekłszy, wyszła; my z Anielką spojrzeliśmy po sobie; kąciki jej ust podniosły się w chytrym uśmiechu, a ja rzekłem:

— Anielu, nowe swaty!

Ona zaś przyłożyła palec do ust, niby ostrzegając mnie, że za głośno mówię, i znikła w swo-

im pokoju, ale po chwili śliczna jej główka znów wychyliła się przeze drzwi.

— Przypomniałam sobie, żeś nie zaprosił panny Hilst! — rzekła.

— A nie zaprosiłem.

— Dlaczego?

— Bo ja ją kocham w ukryciu — odrzekłem, śmiejąc się.

— Nie, czemu jej nie zaprosiłeś?

— Jeśli chcesz, to jeszcze to uczynię.

— Jak ty wolisz — odpowiedziała, chowając się napowrót.

Ja zaś wolałem nie zapraszać panny Hilst.

W godzinę później ruszyliśmy w Aleje Belwederskie. Anielka była ubrana w kremową suknię, strojną koronkami. Tak nauczyłem się wypowiadać jej wszystko oczyma, że czytała w nich wyraźnie mój zachwyt; poznałem to z jej twarzy, nawpół rozpromienionej, nawpół zakłopotanej. Po drodze zatrzymaliśmy się przed willą państwa Zawiłowskich, zaledwie jednak miałem czas zadzwonić, gdy drzwi otworzyły się, i panna Helena, przybrana w szaro-srebrzystą suknię, stanęła, a raczej przebiegła koło mnie w całym swym majestacie, zaledwie kiwnąwszy mi głową. Jest to więcej brzydka, niż ładna blon-

dynka, o zimnych, blado-niebieskich oczach, twarzy bez uśmiechu i układzie nadzwyczaj ceremonialnym. Uchodzi ona za wzór dystynkcyi, na cobym się chętnie zgodził, gdyby dystynkcya oznaczała to samo, co sztywność. Obejście się jej ze mną jest równie zimne, jak jej oczy, a nawet nadto zimne, by mogło być szczere. Jest to poprostu metoda, obrachowana na podrażnienie mej miłości własnej — i obrachowana głupio, bo mnie nudzi, nie drażni, i dzięki jej, zajmuję się panną Zawiłowską tyle tylko, ile tego grzeczność wymaga.

Dziś jednak zajmowałem się nią nieco więcej, miała bowiem odegrać rolę ochronnego konduktora, to jest przyciągać ciekawość i odwracać przypuszczenia, jakieby widok Anielki, siedzącej ze mną w jednym powozie, mógł ludziom nasunąć. Niebawem ruszyliśmy dalej, ale zwolna, dzień był bowiem pogodny i mnóstwo osób jechało na wyścigi, tak, że nie można było dojrzeć końca powozów. Przed sobą i za sobą widziałem rzekę parasolek, co było naprawdę ładne, barwy ich bowiem grały bardzo silnie w słońcu, pod niemi zaś tworzyły się kolorowe cienie, z których wychylały się głowy kobiece o rysach delikatnych i wykończonych. Stosunkowo

dużo było twarzy ładnych, ale brakło im temperamentu; nie widziałem go nawet u tych pań ze świata finansowego, które zresztą, jak wiele innych rzeczy, tak i temperament raczej udają, niż mają w rzeczywistości. Ale te otwarte powozy, tu i owdzie charakterystyczne zaprzęgi, przeważnie jasne tualety, mieniące się w powietrzu na tle zieloności drzew — to wreszcie nagromadzenie wykwintnych ludzi i wykwintnych koni, nadawało pochodowi wysoce ucywilizowany, a nie pozbawiony przytem malowniczości pozór. Cieszyło mnie to, że Anielkę ów ruch i tłok widocznie bawił i sprawiał jej przyjemność. Odpowiadając na moje uwagi, spoglądała na mnie z pewną wdzięcznością, jakbym to ja przygotował jej tę rozrywkę. Siedząc naprzeciw, mogłem na nią swobodnie patrzeć, częściej jednak zwracałem się do panny Zawiłowskiej, od której stale szedł zamróz, jak od karafki «frapowanej» wody, i która poczęła mnie poprostu bawić, zdawało się bowiem, iż jeśli odpowiada na moje pytania i zgadza się na moje towarzystwo — czyni to tylko przez dobre wychowanie i wysoką towarzyską uprzejmość. Stałem się dla niej tembardziej nadskakujący, ale z pewnym odcieniem dobrego humoru, który

w końcu począł ją drażnić. Dojechaliśmy nareszcie na Mokotowskie pola. Dla powozu ciotki zachowano zwykle miejsce przy trybunie — i wnet różni moi znajomi z kartami na kapeluszach, przyszli powitać ją i powinszować dzielnej i obiecującej postawy «Naughty-boy'a». Jeden z najznakomitszych hodowców powiedział ciotce, że koń jest wspaniały, ale może niedostatecznie trenowany, że jednak w nocy deszcz padał i turf jest miękki, więc tak silny rumak, jak «Naughty-boy», ma za sobą wszelkie dane. Zdawało mi się, że mówił to z ironią, i trochę się zaniepokoiłem, klęska bowiem «Naughty-boy'a» byłaby zepsuciem dnia ciotce i pośrednio mnie — albowiem jej zły humor zwarzyłby nam zabawę. Tymczasem poszedłem wzdłuż powozów, oglądając po drodze pole i wyszukując znajomych. Ludzi było pełno, trybuny wyglądały, jak jedna zbita ciemna masa, na której suknie kobiece tworzyły jaskrawe plamy. Całe szranki obwiedzione były grubym pierścieniem widzów. Wał miejski czernił się także od ciekawych. Po obu stronach trybuny ciągnęły się jakby dwa skrzydła, dwa nieskończone szeregi powozów, z których każdy, osobno wzięty, wyglądał jak kosz, napełniony kwiatami.

O jakie sto kroków od trybuny spostrzegłem w powozie zawadyacki nosek i różową twarz pani Sniatyńskiej. Gdym się do niej zbliżył dla powitania, powiedziała mi, że mąż jej poszedł szukać panny Hilst, poczem jednym tchem zadała mi następne pytania: jak się ma ciotka i pani Celina? czy Anielka jest na wyścigach? jakim sposobem te panie wyjadą do Gasteinu, skoro pani Celina nie może wstawać? czy «Naughty-boy» wygra? co będzie, jeśli przegra? i ile osób będzie u mnie na obiedzie? Przez ten czas, stojąc przy jej powozie, zauważyłem, iż ma wyjątkową słodycz w wyrazie oczu i prześliczną nogę, a chcąc odpowiedzieć na jej pytania równie hurtownie, jak były zadane, musiałbym chyba mieć, jak mówi Szekspirowska Rozalina, usta Gargantuy. Odpowiedziawszy piąte przez dziesiąte, i poprosiwszy, by po wyścigach przyjechali oboje z mężem wprost do mnie, poszedłem także, śladem Śniatyńskiego, szukać Klary, sądziłem bowiem, że wypada mi zbliżyć się do powozu. Pokazało się, że stoi on niedaleko od ciotczynego. Klara wyglądała, jak pagórek, pokryty heliotropami. Znalazłem ją otoczoną przez artystów i melomanów i rozmawiającą z nimi wesoło. Na mój widok zasępiła

się nieco i przyjęła mnie z pewną oziębłością, ale taką, która czeka tylko na jakieś cieplejsze, przyjazne słowo, by zmienić się w wielką serdeczność. Ja pozostałem jednak chłodny; po kwadransie równie grzecznej, jak ceremonialnej rozmowy, poszedłem dalej, i zamieniwszy w drodze po parę słów z innymi znajomymi, wróciłem do naszego powozu, albowiem dwie pierwsze gonitwy odbyły się przez ten czas, i nadeszła kolej na «Naughty-boy'a».

Spojrzałem na ciotkę: wyraz jej twarzy był uroczysty; widać jednak było, że usiłuje zachować zimną krew. Za to na twarzy Anielki odbił się wyraźny niepokój. Oczekiwaliśmy dość długo na ukazanie się koni, bo przy wadze marudzono jakoś niezwykle. Tymczasem nadbiegł Śniatyński, zdaleka już wymachując swemi długiemi rękoma i pokazując bilety, zakupione w totalizatorze.

— Postawiłem miliony za «Naughty-boy'em!» — zawołał: — jeśli mnie zdradzi, obciążam hypotekę Płoszowa.

— Mam nadzieję, — zaczęła z godnością ciotka — że pan...

Lecz nie skończyła, bo w tej chwili ponad ciemną masę ludzi zebranych w okolicach try-

buny, wykwitły różnobarwne kurtki dżokejskie. Wyprowadzano konie na tor. Jedne z nich, wydostawszy się na wolną przestrzeń, puszczały się natychmiast w cwał ku miejscu, skąd gonitwa miała nastąpić; inne szły wolnym, spokojnym krokiem. Po dokonanym starcie, jeźdźcy, ruszywszy, przegalopowali koło nas zbitą gromadą i niezbyt szybko, bieg bowiem miał być podwójny, i musieli oszczędzać siły koni. Ale już na drugim skręcie szereg ów rozciągnął się w łańcuch. Robiło to takie wrażenie, jakby wiatr rozwiał kupkę płatków kwiatowych wzdłuż po drodze. Na przodzie biegł dżokej ubrany całkiem biało, za nim niebieski z czapką i rękawami czerwonymi, za nim dwaj równo, jeden cały czerwony, drugi czerwony z żółtem — pomarańczowy zaś nasz Kuba zajmował przedostatnie miejsce, mając tuż za sobą jeźdźca, przybranego w barwę białą z błękitną. Porządek ten nie utrzymał się jednak długo. Gdy bieg doszedł do przeciwległego obrębu koła, w powozach uczynił się ruch; ciekawsze panie poczęły wstępować na poduszki powozów, by nie utracić żadnego epizodu gonitwy; za ich przykładem poszła i ciotka, która widocznie nie mogła już dłużej wysiedzieć.

Anielka odstąpiła swe miejsce pannie Zawiłowskiej, która po krótkich ceremoniach stanęła obok ciotki, ja zaś umieściłem Anielkę na przedniem siedzeniu, ponieważ jednak nie miała przed sobą oparcia, więc stanąwszy obok niej, podtrzymywałem ją za rękę. Wyznaję, żem w tej chwili mniej myślał o gonitwie, niż o tem, że ta delikatna, kochana ręka spoczywa w mojej i nie cofa się. Plecy ciotki zasłaniały mi nieco widok — lecz wspiąwszy się na palce, ogarniałem wzrokiem całe błonie i dżokejków, dochodzących do zawrotu na drugiej stronie błonia. Widziani zdaleka, byli podobni do jakichś jasnokolorowych żuków, lecących przez powietrze. Bieg z tej odległości wydawał się powolnym, a rzuty przednich i zadnich nóg końskich miały w sobie coś mechanicznego. Cały ten mieniący się wąż, mimo pozornej powolności, zostawiał jednak za sobą szybko przestrzeń. Porządek jeźdźców był już znowu zmieniony. .Na przodzie biegł zawsze biały dżokej, za nim czerwony, nasz jednak Kuba zajmował trzecie miejsce. Inni pozostali daleko i przestrzeń, dzieląca ich od przodowników, zwiększa się z każdą chwilą. Widocznie «Naughty-boy» nie należał do koni najgorszych. Na chwilę straciłem ich z oczu,

ale ujrzałem ich znów, gdy przebiegli blizko nas. Czerwony jeździec doganiał tuż, tuż białego — ale Kuba był jeszcze bliżej od obydwóch. Wiedziałem teraz, że biały musi zostać, bo jego koń miał już boki tak mokre i świecące, jakby oblane wodą. Czerwony był bardzo groźny, pomyślałem jednak, że w najgorszym razie «Naughty-boy» weźmie drugą nagrodę, i klęska nie będzie zupełną. Dodało mi otuchy i to, że szedł on z taką flegmą, wyrzucał nogi tak spokojnie i miarowo, jakby odrabiał jakąś codzienną pracę. Zajęcie w widzach wzrastało z każdą chwilą.

— «Naughty-boy» przegrał? — spytała mnie cicho Anielka, widząc porządek, w jakim konie przebiegły koło trybuny.

— Nie, kochanie. Muszą jeszcze jeden krąg zrobić — odpowiedziałem, ściskając jej z lekka rękę.

A ona jej znów nie cofnęła. Prawda, że cała jej uwaga pochłonięta była przez gonitwę. W chwili, gdy konie ukazały się po za bokiem drogi, zasłonionym dla nas przez trybunę, Kuba był już drugi; koń białego dżokeja wyczerpywał się tak, że i trzej pozostali w tyle jeźdźcy poczęli go doganiać. Widocznem już było dla

wszystkich, że walka rozstrzygnie się tylko między czerwonym a pomarańczowo-czarnym. Kuba zbliżył się jeszcze do czerwonego, i tak, rozdzieleni przestrzenią pięciu lub sześciu koni, obiegli znaczną część pola. Nagle szmer na trybunach zapowiedział nam, że dzieje się coś niezwykłego. Spojrzałem: Kuba doganiał stanowczo swego przeciwnika. Szmery na trybunach zmieniły się w gwar. Anielkę tak dalece porwała zabawa, że sama teraz poczęła ściskać nerwowo moją rękę, pytając co chwila: «Co tam? co tam?» Jeźdźcy byli już z lewej strony pola. Czerwony znów, za pomocą kilku uderzeń szpicrutą, wysunął się naprzód, lecz «Naughty-boy» sięgał go niemal nozdrzami. W szalonym pędzie wbiegli obaj na linię trybuny, na której znów straciliśmy ich początkowo z oczu. Walka za kilka sekund miała się rozstrzygnąć. Na trybunach zapadła chwilowa cisza, która w mgnieniu oka zmieniła się w okrzyki. Mnóstwo osób biegło pieszo ku sznurom, osłaniającym drogę, i w tej chwili ujrzeliśmy czerwone chrapy, łeb koński, z wyciągniętą jak struna szyją, nad nią zaś pomarańczowo-czarne barwy, niesione jakby wichrem. Dzwonek ozwał się na trybunie — zwycięstwo było po naszej stronie.

Czerwony dżokej został na odległość kilkunastu koni.

Muszę oddać ciotce sprawiedliwość, że zachowała zimną krew; na czole jej tylko ujrzałem kilka kropel potu, które poczęła wachlować chustką. Anielka była wzruszona, rozbawiona do najwyższego stopnia i szczęśliwa. Oboje poczęliśmy składać ciotce życzenia, a nawet i panna Zawiłowska wypowiedziała kilka francuskich frazesów, jak gdyby wyjętych z rozmów pani Boquel. Wkrótce znajomi otoczyli nasz powóz, i tryumf ciotki był zupełny.

Ja byłem także upojony temi uściśnieniami dłoni, które otrzymałem od Anielki. Próżno sobie mówiłem, że mogły być one nieświadome, bo znów przychodziło mi na myśl, że częstokroć opór kobiecy, gdy się ma przesilić, to przesila się zwykle w chwilach podniecenia i zapamiętania, czy to z powodu zabawy, czy pięknych widoków, czy jakichkolwiek innych okoliczności, odmiennych od pospolitych warunków życia. Przychodzi wtedy pewne rozkołysanie się nerwów, wobec którego utrata codziennej równowagi jest łatwa do zrozumienia. Wziąwszy w rachubę podobny właśnie stan Anielki, doszedłem do przekonania, że ona już przestaje

walczyć z ogarniającem ją uczuciem, i postanowiłem być stanowczym.

Przypuszczam, że w Płoszowie nie zabraknie sposobności. Jutro tam wracamy. Dzisiejszy mój obiad, rozmowy i zabawa odegrały rolę dalszych kropel narkotyku. Ona nawet nie przypuszcza, ile czeka nas oboje szczęścia — musi mi tylko oddać na to swoją duszę zupełnie, bez zastrzeżeń i granic.

Lubo ciotka ostrzegła panią Celinę, że może zostanie z Anielką do jutra w Warszawie, mieliśmy wracać jeszcze dziś, po moim obiedzie; tymczasem zaszedł wypadek, który nas powstrzymał. Obiad, z następną po nim herbatą, przeciągnął się do dziesiątej, w chwili zaś, gdy ostatni goście wyjechali, dano znać, że «Naughty-boy» zachorował. Zrobił się wielki zamęt. Zanim posłano po weterynarza i zanim go znaleziono, była północ. Ciotka ani chciała myśleć o wyjeździe.

Anielka miała ochotę wracać, ale spostrzegła, że chwycę się lada pozoru, by ją odwieźć do Płoszowa — ona zaś jeszcze się boi. Ciotka powiedziała jej, że wróciwszy tak późno, rozbudzi cały dom i matkę, a wreszcie rzekła:

— Leon nie ma mi za złe, że ja zawsze

uważam, iż jestem tu u siebie, więc i ty jesteś u mnie. Tak samo, gdybym mu oddała Płoszów, i samabym w nim mieszkała dalej i was nie puściła, póki Celina nie wyzdrowieje.

To ostatecznie skłoniło Anielkę do pozostania.

Teraz jest godzina trzecia w nocy. Widno już, ale na dziedzińcu i koło stajen migają dotąd latarki ludzi, chodzących koło «Naughty-boy'a». Ciotka, gdyśmy się rozchodzili, mówiła, że jeszcze przez dzień zostaje w Warszawie. Jam oświadczył, że zostawiłem ważne papiery w Płoszowie, pojadę więc po nie, a zarazem odwiozę Anielkę. Będziemy sami, i nie będę wahał się dłużej. Wszystka krew napływa mi do serca na myśl, że może odwiozę tę ukochaną istotę przytuloną do moich piersi i usłyszę jej wyznanie, że mnie tak kocha, jak ja ją kocham.

Chmurno i dżdżysto, ale dnieje coraz bardziej. Zaledwie kilka godzin oddziela mnie od tej chwili, w której zacznę nowe życie. Oczywiście nie śpię i nie mógłbym zasnąć za nic w świecie. Najmniejsze znużenie nie ciężyy mi na powiekach. Piszę i rozpamiętywam. W dłoni czuję jeszcze ciepło jej ręki i drżenie jej palców, które się nie cofały z uścisku. Jam urobił

tę duszę, wychowałem ją, rozwinąłem i przygotowałem dla miłości; jestem, jak wódz, który wszystko przewidział, obmyślił, wyrachował, ale który nie śpi przed dniem, mającym jego los rozstrzygnąć.

Anielka za to śpi tam, po drugiej stronie domu — i wierzę, że nawet sen jej pracuje dla mnie; być może, iż widzi mnie we śnie i wyciąga ku mnie ręce. Mrowie przechodzi mnie, gdy myślę o tem.

W tem morzu zła, głupstw, niepewności i zwątpień, jakiem jest istnienie, jedna rzecz jest warta życia, niewątpliwa, mocna jak śmierć — to miłość. Nic niema po za nią...

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

Każdy prenumerator

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO

otrzyma w r. 1899 bez żadnej dopłaty

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującem w 36-ciu 10-cio arkuszowych tomach (z wyjątkiem „Trylogii“) **wszystkie utwory autora „QUO VADIS“.**

„Tygodnik Illustrowany“ daje rocznie **przeszło 1200 illustracyi,** oraz **bezpłatne reprodukcye kolorowe obrazów mistrzów naszych.**

W roku 1899 drukują się jednocześnie **dwie powieści oryginalne,** mianowicie ciąg dalszy wielkiej powieści historycznej p. t.:

„Krzyżacy“

Sienkiewicza

której początek nowi prenumeratorowie nabywać mogą za kop. 90, oraz

„ARGONAUCI“

większa powieść

ELIZY ORZESZKOWEJ.

W dodatku powieściowym, dołączanym w arkuszach, drukujemy powieści głośnych pisarzów europejskich.

Prenumerata „Tygodnika Illustrowanego“ wraz z dodatkiem powieściowym i 12-tu tomami dzieł **H. Sienkiewicza** wynosi: **w Warszawie** rocznie rub. 8; **z przesyłką pocztową** kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12.

W **Krakowie** kwartalnie 3.30 złr., we **Lwowie** kwartalnie złr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką poczt. kwartalnie złr. 3.75.

Adres Administracyi „Tygodnika Illustrowanego“:

Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.

FL 1-12-54

LP
S5724
v.9
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
486192

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED